

DUŻYFORMAT



FOT. MACIEK JĄZWIĘKI / AGENCIA WYBORCZA.PL

Dzieci i ich rodzice opowiadają Agacie Całkowskiej

JAK ŻYĆ Z TOURETTE'EM

Jak się robi politykę na TikToku?

Dzięki psom zyskał pan w moich oczach

Najlepsze by były rządy Konfederacji z Lewicą.
Wtedy i ziolo dozwolone, i wolna aborcja, i podatki niskie,
i Kościół się nie będzie do niczego wpierdalać

– Więc to jest TikTok? Jestem na TikToku? – tymi słowami wiosną 2020 r. prezydent Polski zainaugurował występy na własnym koncercie, po czym zachęcił młodych ludzi do udziału w turnieju gier komputerowych Ministerstwa Cyfryzacji.

– To było udane wyjście poza własną bańkę komunikacyjną i potwierdzenie pozycji lidera w innowacjach – ocenił ten ruch rzecznik PiS-u Radosław Fogiel, który za trzy lata sam zaliczy na TikToku głośną wpadkę (o czym na końcu).

Andrzej Duda nagrał jednak jeszcze tylko jeden film (namawiał do wspierania polskiej gospodarki) i to na razie wszystko. Powód: latem 2020 r. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego ostrzegła Kancelarię Prezydenta przed szpiegowskimi możliwościami chińskiej aplikacji: istnieje ryzyko zdalnego przejęcia m.in. aparatu fotograficznego w telefonie.

Do zamknięcia konta Duda dorobił się prawie tysiąca obserwujących, a jednym z nich jest pochodzący z Olsztyna 27-letni Bartosz – kawaler, absolwent historii, aktualnie szeregowy pracownik stołecznej branży reklamowej. – Kliknąłem „obserwuj”, ale się zawiodłem. Myślałem, że Duduś będzie wrzucał takie tiktoki jak „walka z ostrym cieniem mgły” – mówi o „rapie” wrzucenym przez prezydenta na YouTube w ramach akcji społecznej #Hot16Challenge.

– Bo chciałeś obserwować dla beki?

– Od tego TikTok jest. A Duda to czysta beka. Kaczyński go zrobił prezydentem, jak Matsson zrobił Toma prezesem na Amerykę [bohaterowie „Sukcesji” – se-

rialu HBO]. Potrzebował „chłopca”, który będzie zabawiał publikę, gdy Kaczor robi, co lubi: ciśnie po swoich wrogach. Mam nadzieję, że Tusk jednak zwycięży i odda pałeczkę młodszym.

– Czyli komu konkretnie?

– Takim, co się nie będą ludziom w życie wpierdalać.

– Na kogo głosowałeś w ostatnich wyborach?

– Nie głosowałem, bo rwałem we Francji winogrona. Ale teraz pójdę przeciwko PiS-owi, bo tej jesieni nie jadę – zarabiam dosyć na miejscu.

– PiS twierdzi, że to dzięki jego rządóm młodzi Polacy – jak ty – nie muszą już wyjeżdżać za pracą na Zachód.

– PiS pokazał, jak się buduje poparcie, żeby potem prowadzić swoją politykę. Równie dobrze mogła to zrobić Platforma, gdyby byli mądrzejsi, gdy rządzi-li. Dać ludziom 500 plus, podwyższyć minimalną płacę... a na tym wszystkim ponieść progresywną agendę.

– Twoi koledzy na kogo zagłosują?

– Sporo na Konfederację, bo to partia młodych i tylko tam są ludzie jawnie popierający legalizację ziola. I którzy rozumieją, jak działa współczesny świat.

PIOTR
GLUCHOWSKI



RYŚ: IGOR MORSKI



– A jak działa?
– Na pewno nie tak, że wrzucasz na TikToka pytanie: „Czy to jest TikTok?”. Dudaś powinien się uczyć u Mentzena.

MENTZEN MÓWI KRÓTKO I WIEM, Z CZYM SIĘ NIE ZGADZAM

Sławomir Mentzen ma na TikToku kilka profili, w tym główny (slawomirmentzen) z przeszło 700 tysiącami obserwujących. Wielu to fani, ale wydaje się, że przynajmniej połowa nie zgadza się z tezami lidera Konfederacji.

Jedno z ostatnich nagrań – ubrany w garnitur 37-letni polityk mówi do kamery, siedząc na kanapie w swojej kancelarii: – Kaczyński ma 73 lata, Tusk – 65. Obaj są starsi od moich rodziców. Robiący za młodego na Platformie Rafał Trzaskowski jest po pięćdziesiątce. Najwyższy czas odesłać ich wszystkich na emerytury, niech przestaną układać młodym ludziom życie!

Wśród blisko tysiąca komentujących jest Aleksander z Poznania, student farmacji i zarazem

pracownik firmy kurierskiej, do tego piłkarz amator. Właśnie skończył 26 lat: – Dla mnie liczą się nie wiek, lecz poglądy, a te Mentzen ma średniowieczne. Nierozerwalność małżeństwa, po ślubie kobieta do kuchni, srać na biednych, nie płacić podatków, kto nie odnosi sukcesu, niech zdycha...

– Jednak go obserwujesz.

– Bo mówi krótko, jasno i przynajmniej wiem, z czym się nie zgadzam. A kiedy przeklewał baloniki – to było nawet zabawne.

Balony, które szef Nowej Nadziei (jedna z trzech odnóg Konfederacji) umieścił przed dwoma miesiącami w swoim biurze, zostały opisane: 500+, 13. emerytura, bon turystyczny, laptop+, 14. emerytura...

Mentzen na TikToku: – Ta impreza, ten bal na „Titanicu”, skończy się wielkim kacem. Dostę tego! – zdecydowanymi ruchami przebijają wszystkie balony. – Koniec z tym rozdawnictwem! PiS musi skończyć się bawić za pieniądze Polaków!

– Ja akurat jestem superbeneficjentem programów społecznych rządu, ale i tak będę głosował na Konfederację – mówi mi Mateusz, lat 29, rodowity warszawiak z Żoliborza, kibic koszykarskiej drużyny Boston Celtics, a przy tym właściciel i jedyny pracownik firmy handlującej w sieci gadżetami dla psów i ich panów. Mentzena na TikToku obserwuje od czterech miesięcy. – Bierzemy z dziewczyną pięć stów na córeczkę, do niedawna miałem zerowy PIT, zwolnienie z ZUS-u, teraz mam mały ZUS. Do władzy powinna dojść partia, która będzie mocno wspierać przedsiębiorczość. Najlepsza byłaby koalicja Konfederacja-Platforma, ewentualnie z Hołownią, ale bez Lewicy.

– Dlaczego?

– Bo ci chcą ludziom mówić, co jeść, czym jeździć, jakich słów nie używać. Tutaj Mentzen ma rację: mój dom, talerz i garaż to jest moja sprawa, a nie Sylwii Spurek. Chociaż ja akurat nie mam garażu, a tym bardziej domu, tylko mieszkanie w kredycie.

Inny tiktok Mentzena: polityk ustawił kosze, w rękę trzyma banknoty. – To jest 6 tysięcy złotych, które firma musi wydać na pracownika zarabiającego 5 tysięcy brutto. Z tego 900 złotych – Mentzen wrzuca stuzłotówki do pierwszego kubła – idzie do tej wielkiej piramidy finansowej, czyli ZUS-u. 100 złotych – banknot wpada do kubła numer dwa – na Fundusz Pracy, żeby PiS-owcy mieli z czego finansować trzynastą emeryturę. Zostaje 5 tysięcy, z czego 400 złotych płacicie składki zdrowotnej, na ten kij do walenia w szybę, żeby dostać skierowanie do lekarza specjalisty za dwa lata, 200 złotych podatku dochodowego na wille dla PiS-owców i pensje dla ich rodzin [kolejny śmietnik – „PIT”]. Z tego, co wam zostaje, musicie jeszcze zapłacić VAT, akcyzę, jedną piątą zjada inflacja i zostają resztki... – Mentzen macha ostatnimi banknotami. – Tak właśnie PiS łupi Polaków. Podatki powinny być niskie i proste po to, byście sami decydowali, na co wydajecie swoje ciężko zarobione pieniądze.

30-sekundowy spot ma 360 tysięcy polubień (na TikToku są to serduszka) i 8 tysięcy komentarzy. Karolina, lat 30, sekretarka w pomorskiej kancelarii notarialnej, aktualnie singielka, pisze: „Nareszcie ktoś mówi, jak jest, bo ludziom się wydaje, że w Polsce nie ma podatków, a opieka medyczna należy się za darmo”.

– Sądziś, że jak Konfederacja weźmie władzę, to nie będzie ZUS-u ani NFZ-etu?

– Pierwsza naiwna nie jestem, ale można wprowadzić składki dobrowolne. A samodzielna władza Konfederacji nie nastąpi wcześniej, niż wymrze pokolenie zagrzybionych lbów, tych Tuszków i Kaczyńskich, którzy się będą do śmierci klócić o jakieś sprawy z PRL-u, o Kościół i papieża, jakby nie rozumieli, że ludzie to mają już w dupie. Przynajmniej młodzi.

– Tuskowie i Kaczyńscy klóć się też o aborcję, co chyba młodych dotyka...

– W tej sprawie powinny głosować tylko posłanki – kobiety. Mężczyźni mogą decydować o prawie do wazektomii.

– Co w takim razie powiesz o „piątce Konfederacji”, którą Mentzen ogłosił cztery lata temu? „Nie chcemy Żydów, homoseksualistów, aborcji, Unii Europejskiej i podatków”.

– Mówił o tym, jakie hasła się przebijają w necie. To dziennikarze zrobili z tego rzekomy program Mentzena. On jest najmocniej atakowanym polskim politykiem. Moim zdaniem to mu tylko w wyborach pomoże, bo publiczność dopinguje tego, którego biją.

– Ty sama zagłosujesz na konfederatów?

– Żeby aż głosować od razu, to nie...

– Czyli nie pójdiesz na wybory?

– Nie zastanawiam się w czerwc, co będę robiła za pół roku... jeszcze nawet nie wiem, gdzie, z kim i czy w ogóle pojedę na urlop.

TUSK: CIĄGLE MNIE PYTAJĄ O LEGALIZACJĘ

W odróżnieniu od Mentzena, który połowę tiktoków nagrywa samotnie w swoim toruńskim biurze, Donald Tusk występuje w plenerach, często w tłumie fanów. Jego profil obserwuje ćwierć miliona osób. Oglądam jedno z popularniejszych nagrań – zrobione w szkolnej sali gimnastycznej, doczekało się 54 tysięcy polubień. Były premier mówi: – Ciągle mnie pytają o legalizację marihuany. Może po prostu trzeba zdecydować, żeby nie było penalizacji, żeby nie było więzienia. Jak ktoś tam nawet ma jointa, to żeby nie robić z tego jakiejś wielkiej afery.

Pod filmem ponad tysiąc komentarzy, przeważają przychylnie: „Legalizacja = wielkie przychody, a ludzie i tak palą więcej niż w Czechach”; „W tej sprawie się z panem zgadzam, ale tylko w tej”; „Donek pobyl parę lat na Zachodzie, z dala od tego ciemnogrodu, więc zmądrzał”.

Wpisy krytyczne: „Ile osób za pana rządów siedziało za posiadanie małej ilości? Co pan dla nich zrobił?”; „Na razie dla wolnych konopi najwięcej dokonał PiS, legalizując marihuanę medyczną”.

Marcin z Zielonej Góry, rocznik 1997, zawodowy kierowca i świeżo upieczony mąż Ukrainki Bohdany, która w marcu zeszłego roku uciekła z córeczką z Pawłohradu, wkleja trzy trupie czaszki i pisze: „Tusk wszystko przed wyborami obieca. Jak każdy, kto szuka procentów, chwytą się legalizacji zioła. Potem będzie: »für Deutschland!«”.

– Co miałeś na myśli, pisząc ostatnie słowa?

– Że Tusk jest politykiem niemieckim. Niemcy mu dali europejską posadę i Niemcy go teraz przysłali, żeby pokonał PiS. Niemka von der Leyen, czy jakoś, powiedziała mu oficjalnie, że ma wrócić do Niemiec jako polski premier.

– Dowiedziałeś się z „Wiadomości” TVP?

– Faktycznie z telewizji, ale to jeszcze nie znaczy, że fejk.

– Też to widziałem. Ursula życzyła Donaldowi wygranych wyborów, bo jest jego koleżanką z Europejskiej Partii Ludowej.

– ...ale dla Niemiec dobrze, jak Tusk wygra, nie?

– A dla Polski źle?

– Najlepsze by były rządy Konfederacji z Lewicą. Wtedy i zioło dozwolone, i aborcja, i podatki niskie, i Kościół się nie będzie do niczego wierdalać. Dziś katecheci uczą dzieci religii za moje podatki, więc dopłacam do oglupiania kolejnych pokoleń.

– Ale przecież konfederat Grzegorz Braun wita się z elektoratem „Szczęść Boże!”.

– Braun chce być kozakiem, a jest dzbanem bez wpływu na cokolwiek. Tylko pajacuje. Konfederacja to Mentzen.

– Głosować będziesz na kogo?

– Na kogoś z tych, co złożyli projekt, że można mieć cztery krzaki i pięć gramów w kieszeni. Nazwisk nie pamiętam, PiS-u tam nie ma.

Faktycznie: pod pomysłem częściowej legalizacji marychy podpisało się pięćoro posłów Lewicy (w tym Adrian Zandberg), piątka z Konfederacji, dwoje z Koalicji Obywatelskiej oraz Paweł Szramka z koła Polskie Sprawy i Andrzej Rozenek z PPS-u.

HALICKI: DOBRY CZŁOWIEK I PSY

– Nasze badania potwierdzają, że widownia TikToka jest wolnościowa w sferze gospodarczej i antypisowska, chwilami lewicowa, w sferze ideowej – mówi mi Michał Fedorowicz, szef warszawskiego Instytutu Badań Internetu i Mediów Społecznościowych (IBIMS). – Tak się porobiło mniej więcej od Strajku Kobiet. Algorytmy się nauczyły, że dziewczyna, która wchodzi na serwis – niech to będzie dwudziestolatka malująca w galerii paznokcie – zwykle nie lubi PiS-u, ale treści Mentzena może zaakceptować. Bo jest na tyle młoda, że jeszcze nie widzi sensu płacenia składek na ZUS, a wolne konopie jej się podobają. Dlatego platforma będzie jej podsuwać przekazy konfederatów.

– Właśnie widzę, że na polskim TikToku głośno głównie o Konfederacji i legalizacji...

– Brak poważniejszych tematów wynika głównie z faktu, że poza Mentzenem i nielicznymi osobami z innych partii polscy politycy TikToka nie kumają. Nie wiedzą, po co tam są. Dlatego wypadają fatalnie. Dla jednych to fanaberia, bo na Facebooku, który jakoś znają, siedzi ponad 20 milionów wyborców, a na TikToku uprawnionych do głosowania jest trzy razy mniej. Dla drugich to coś jak Twitter, tylko w wersji video. Tymczasem TikTok nie jest w ogóle



25-latka:

PiS na TikToku

farbuje siwiznę

i wdzięczy się

do lasek

platformą społecznościową. Tutaj nie ma „znajomych”, przyjaciół, naszej bańki. To jest medium rozrywki, które nie przewidywa interakcji między osobami... To ma być czysty relaks, odskocznia. Algorytm pokazuje nam content, który się podoba większości ludzi w świecie.

– Tańce, śmieszne koty...

– Tylko nieliczni politycy zdołali to zrozumieć, jeszcze mniej – wykorzystać. Kiedy Tusk wszedł na TikToka, masa posłów Platformy poszła jego śladem, lecz tylko nieliczni – mądrze. Na przykład Andrzej Halicki zbudował się na platformie przez psy.

Zostają jednym z 97 tysięcy obserwujących europośla. Najnowszy film: polityk Platformy i zarazem właściciel małego stada dogów tłumaczy, „na co trzeba szczególnie uważać z psami takiej rasy”. Okazuje się, że na merdające ogony. – One wciąż chodzą i mogą być groźne zwłaszcza dla małych dzieci – mówi deputowany i czule głaska machające chwostami czworonogi w przestronnej jadalni swojej rezydencji. – Pytacie, czy taki ogon mocno bije? O tak! Dostać w nogi to nic, dostać trochę wyżej – to dopiero problem! Mogę coś o tym powiedzieć.

Film o ogonach został wyświetlony ponad milion razy, 370 osób wpisało komentarze, praktycznie same pozytywne. Na przykład: „Dzięki dogom bardzo pan zyskał w moich oczach jako polityk. Tylko dobrzy ludzie lubią i szanują psy”.

– Tiktoki Halickiego dobrze się rozchodzą, bo chińska platforma celowo ogranicza treści polityczne na rzecz rozrywkowych – mówi Fedorowicz. – W Chinach o polityce się milczy.

– Ograniczają treści rękami moderatorów?

– Raczej setek tysięcy małych algorytmów. No i kolejna sprawa: TikTok bardzo lubi ludzi pracowitych. Żeby mieć wynik Mentzena, czy choć Halickiego, trzeba wrzucić dwadzieścia filmów każdego miesiąca – czyli dwadzieścia razy mieć coś do powiedzenia. Większość polityków PiS-u i Platformy nagrywa zatem filmy z krytyką przeciwników, bo tu mają najwięcej pomysłów na występ. Niepotrzebnie straszą.

Na przykład Borys Budka (5 tysięcy obserwujących) zwraca się na TikToku wprost do Jarosława Kaczyńskiego: – Panie prezesie, ja mam taką radę... jak będzie pan w Wielkopolsce, proszę odwiedzić dwa istotne miejsca. To jest Rawicz i Wronki [siedziby dużych więzień]. Tam, moi drodzy, winniście się szykować!

W kolejnym filmie wiceprzewodniczący PO nazywa ministra obrony Mariusza Błaszczaka pozbawionym honoru kłamcą,

a do tego tchórzem (5 tysięcy wyświetleń i 245 polubień).

Następny film – Budka stoi na mównicy sejmowej: – Oplacalność produkcji rolnej jest najniższa od 2008 r., za to najszybciej rosną ceny produktów w polskich sklepach. Polski rolnik i konsument tracą, a PiS nie potrafi sobie poradzić.

Efekt: 11 tysięcy wyświetleń – 90 razy mniej, niż ma Halicki z psami.

– Bo TikTok chce nie straszenia, tylko przytulania – tłumaczy Fedorowicz. – Ludzie, jak ich postraszyć, pójda sobie gdzieś indziej. Ten prymat entertainmentu dotyka również Facebooka, Twittera, Instagrama – znikają posty, które trzeba czytać dłużej niż przez kilka sekund. Wszystko ma być dostępne w mgnieniu oka. Zesłaliśmy do poziomu możliwie najkrótszych przekazów w sprawach fundamentalnych dla cywilizacji. I stąd mamy te rządy przekazów konfederackich. Czyli krótkich, prostych, podanych w zabawnej formie... Można powiedzieć, że Mentzen opowiada nie o polityce, ale o pieniądzach. Tak jak Halicki o swoich psach, a Robert Biedroń o gejach, lesbijkach i nierównościach społecznych.

PO CO BIEDROŃ PYTA?

Odpalam jeden z najnowszych tiktoków Biedronia. Europoseł stoi na tle unijnej flagi.

– Pamiętacie słynną „piątkę Konfederacji”? Co to oznacza w praktyce? Po pierwsze, że wyjdziemy z Unii, po drugie – nie będziemy mieli pieniędzy na utrzymanie szpitali, dróg, przedszkoli, nie będzie rent i emerytur dla naszych babć i dziadków... Jakie hasło zatem proponują dla konfederatów? „Witamy w piekle!”. A wy... jakie macie propozycje?

Fedorowicz z IBIMS zakwalifikowałby ten spot jako straszenie i rzeczywistość: nagranie słabo się rozeszło, przez trzy dni zebrało ledwo 357 serduszek i kilkadziesiąt komentarzy. Zupełnie inne są wyniki europośla, gdy mówi o LGBT i o nierównościach. Film o prawach osób homoseksualnych zakończony stwierdzeniem „miłość to po prostu miłość i wszystkim należy się równość” polubiło 4 tysiące osób. Podobnie spot, w którym polityk opowiada, jak jego mama płakała, usłyszawszy, że ma syna geja (50 tysięcy wyświetleń i kilka tysięcy serc). Tiktok o dziecięciu największych światowych bogaczach, którzy od czasu pandemii podwoili majątki, ma jeszcze lepsze wyniki. Jedna z komentatorek, 25-letnia Agnieszka z Bielska-Białej, córka dwojga lekarzy, studentka reżyserii multimedialnej w Danii, mówi mi o Biedroniu: – On powinien być twarzą polskiej Lewicy, bo normalny i szczery, a Zandberg jest

przemądrzały. Z Biedroniem bym poszła na piwo, bo nie dałby mi wykładu, tylko byśmy gadali, jak normalni ludzie.

– O co byś zapytała?

– Pochwiliłabym jego rizz. Dobrze mu w kamizelkach do białej koszuli – dziś konserwatywni geje to baza. I jeszcze bym poradziła, żeby tak nachalnie nie kończył tiktoków pytaniem do widzów, bo widać, że ktoś mu doradził, a wychodzi sztucznie.

Rzeczywiście: Biedroń w co trzecim nagraniach zadaje na koniec pytanie, np. „Z jakimi absurdami spotkaliście się podczas spowiedzi?”. Komentujący zazwyczaj nie odpowiadają – od razu przechodzą do (często miażdżącej) oceny tiktokera. Wyjątkiem jest film, w którym polityk mówi o Makenzie Lystrup, nowej szefowej NASA, która podczas zaprzysiężenia kładła rękę nie na Biblii, lecz na książce o kosmosie. – Ten gest ma ogromne znaczenie, ponieważ NASA zajmuje się w końcu nauką, a nie religią, a wolność nauki od wierzeń religijnych to fundamentalny warunek rzetelności badań – tiktokuje Biedroń. I od razu pyta: – A wy na jaką książkę przysięgalibyście, gdybyście mogli wybrać?

W odpowiedziach szeroki rozstrzał: od Kopernikowskiego „De revolutionibus...” przez „Sztukę kochania” po „Mein Kampf”. Internauta „MrKebab” przysięgałby na „Tak trzeba żyć” autorstwa Mentzena. Pozytywnych wzmianek o liderze Konfederacji jest zresztą pod filmem Biedronia więcej – zwolennicy tej partii lubią wchodzić na jego profil.

– Wymiana ognia między wyborcami Lewicy a konfederatami to jeden z trendów TikToka – potwierdza Marcin Wiśniewski, współpracownik Michała Fedorowicza z IBIMS. – Bo platforma jest medium młodych, a ci najczęściej głosują na jedną z tych dwóch partii. Algorytmy kochają konfrontację. Lawinowo przybywa serduszek, komentarzy...

ZANDBERG: PIS POKAZUJE KUKULECZKĘ

Mentzen często atakuje Zandberga i Tuska. Na przykład: – Lewica jest oderwana od rzeczywistości. Zandberg zaczął się awanturować na Twitterze, że w fabryce silników spalinowych w Bielsku-Białej pracę straci 300 osób. I nie widzi związku między zwolnieniami a tym, że lewicowcy w europarlamencie zagłosowali za zakazem sprzedaży aut z silnikiem spalinowym.

Drugi film: – Wiecie, co łączy Tuska i Zandberga oprócz tego, że obaj są rudymi

socjalistami z niepolskim nazwiskiem? Obaj nie rozumieją świata. Tusk proponuje program darmowych kredytów na mieszkania, które doprowadzą do wzrostu ich cen (...). Zandberg z kolei ma kretyński pomysł, by domy budowało państwo. Zobaczcie, jak działa PKP, służba zdrowia, TVP, ZUS oraz sądownictwo! Jeżeli dwa lata czekacie na wizytę u lekarza, to ile byście czekali na państwowe mieszkanie i jakiej by było jakości?

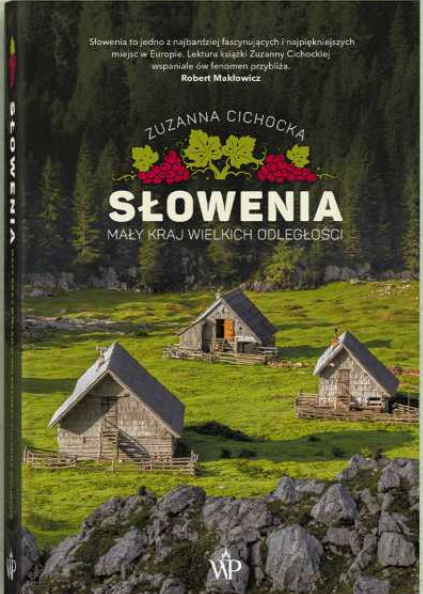
Zandberg (jego oficjalne konto obserwuje 8 tysięcy osób) najczęściej atakuje PiS i Konfederację (wybrałem dwa nowsze tiktoki): – Pan Mentzen i pan Bosak to są politycy propupinowscy, bo system społeczny, który sobie wyobrażają – skrajnie konserwatywny, uderzający w prawa kobiet i mniejszości, a dający wszechwładzę bogatym (...) to właśnie system istniejący w Rosji!

Drugi film: – Jak byłem mały i płakałem, babcia wskazywała na niebo i mówiła: „Zobacz, Adrianeczku, kukuleczka leci”. I wtedy dwuletni Adrianek przestawał płakać i wypatrywał kukulki. Teraz PiS robi ten sam numer z 38 milionami Polaków. Płace realne spadają? Mieszkania są coraz droższe? Nie myślcie o tym! Zobaczcie: ktoś obraził papieża w internecie! Złapmy się za rękę i zaśpiewajmy „Barkę” [w przebitce rządu śpiewa i tańczy na urodzinach Radia Maryja]. Apeluje: nie dajmy z siebie robić idiotów!

Najpopularniejszy na TikToku polityk Zjednoczonej Prawicy Patryk Jaki (138 tysięcy obserwujących) atakuje głównie Platformę i władze Unii Europejskiej, w której parlamencie siedzi (wybrałem dwa tiktoki z największą liczbą komentarzy – każdy ponad tysiąc): – Poszłicie na marsz Tuska, bo on chce bronić wolności – mówi europoseł do widzów. – A wiecie, że jak rządził, to za hasło „Donald, matole” trafiło się do sądu? Za krytyczne wobec władzy strony internetowe policja wchodziła do domów, zaś za pokazywanie afer PO służby interwieniowały w redakcjach [przebitka z policyjnego nalotu na redakcję „Wprost” w 2015 r.]. Takiej wolności znów chcecie?

Drugi film – na sali plenarnej parlamentu w Brukseli Jaki zwraca się do prezydium: – Wcale się nie dziwię, że pragniecie zakazać działalności polskiej komisji do spraw badania rosyjskich wpływów, bo wiecie, że tutaj taka komisja przydałaby się jeszcze bardziej! Po aneksji Krymu dalej robiliście biznesy z Rosją, sprzedawaliście Putinowi broń, budowaliście Nord Stream, Putin korumpował waszych polityków. Na liście plac Kremla są: były kanclerz Niemiec, premierzy Francji i Austrii (...). To jest największa afera w Europie!!

Komentarze pod filmami bywają ostrzejsze od wypowiedzi polityków: „Black



PREMIERA: 12.07.2023

POZNAJ SŁOWENIĘ

- mały kraj wielkich odległości!



ZAMÓW KSIĄŻKĘ NA wydajenamsie.pl

Wydaje nam się

Widow”: „JAKI brzydki”. „Louis Cypher”: „Marks, Lenin, Stalin, Pol-Pot, Zandberg”. „Wielkiszon”: „PO to Popie leni Obląkańcy, czy bardziej Prorosyjskie Onuce?”. „Cycata-Ona”: „PiS off! Jesteście brudem za paznokciami menela!”. „Demencja666”: „Polityczne lby WYPAD sątd!”.

Agnieszka (córka lekarzy, która studiuje w Danii): – Agresywni są głównie prawacy. W Europie TikTok służy do zabawy, a oni robią z niego kolejne pole walki.

Karolina (ta, która pracuje u notariusza i jeszcze nie zaplanowała wakacji): – Jak mocno by się nie ponapinali – i tak nie sięgną do kostek Frankowi Bielakowi.

Franciszek Bielak (konto: fredziownik_art) to 17-letni rysownik, którego profil obserwuje 15 milionów osób z całego świata. Tiktoker niczego nie opowiada – szkicuje i maluje. Film, w którym tworzy obrazy owoców w ludzkich ustach, polubiło 51 milionów internautów, co dało Frankowi trzecie miejsce na świecie – przed Nickiem Luciano, który udaje, że śpiewa przebój dla dziewczynek „SugarCrash!”, i za kanadyjskim Indianinem Jamiem Big Sorrelem Horse'em (czyli Kubusiem Wielkim Gniadym Koniem), który tańczy w ciasnej łazience do remiksu „Say It Right” kanadyjskiej gwiazdy piosenki – Nelly Furtado.

CZARNEK: DZIEŃ DOBRY, CZEŚĆ, TO JA

W Polsce największe zasięgi na TikToku robi – poza Bielakiem – między innymi piłkarz Robert Lewandowski (7 milionów obserwujących). W rankingu kont politycznych opublikowanym w tym roku przez serwis Vibe.pl pierwsze miejsce przypada Mentzenowi, drugie Januszowi Korwin-Mikkemu, trzecie aktorce-lalkarce-posłance Koalicji Obywatelskiej Klaudii Jachirze. Ta ostatnia nagrywa filmy, w których karmi zwierzęta, relacje z Marszów Równości, gorące monologi w obronie wolnej aborcji, a nawet spoty o wojnie w Ukrainie ilustrowane zastępami zabawkowych żołnierzyków toczących boje na biurku parlamentarzystki. Fedorowicz pochwaliby entertainment.

Za Jachirą plasuje się Marianna Schreiber. Żona Łukasza – PiS-owskiego sekretarza Rady Ministrów – pokazuje opalone ciało; dzieli się informacjami na temat operacji korekcyjnej nosa; tłumaczy, dlaczego wspiera zarówno Marsz Równości, jak i Marsz dla Życia i Rodziny, oraz próbuje wyjaśnić: czemu lody kojarzą się z seksem oralnym?

Dalej są m.in. Patryk Jaki, Wanda Nowicka i Monika Falej z Lewicy. W dziesiątce nie ma nikogo z PiS-u. Ten stan spróbował zmienić w marcu br. były rzecznik partii, poseł Radosław Fogiel – zamieścił na platformie nagranie pt. „Za co tak naprawdę nienawidzicie Prawa i Sprawiedliwości?”. Wideo zostało odtworzone półtora miliona razy (dla porównania: oficjalny profil PiS-u na TikToku zgromadził niecałe 17 tysięcy obserwujących).

Niedostępny już dzisiaj w sieci stand-up Fogla („Waszą nienawidę ukształtowały teksty Cypisa i Maty. Nie wiecie nic o naszych programach, o naszej polityce, o tym, co nam się udało zrobić przez te osiem lat...”) skomentowało – w większości negatywnie – 10 tysięcy osób. Cześć w odpowiedzi wrzuciła do sieci własne tiktoki. Jedną z popularniejszych ripost nagrała działaczka Lewicy i aktywistka uliczna ze Szczecina, 27-letnia Dagmara Adamiak, której profil obserwuje 200 tysięcy internautów.

– Za co nienawidzimy Prawa i Sprawiedliwości? Za kompletne zniszczenie polskiej demokracji poprzez rozwalenie trójpodziału władzy (...); za to, że kobiety straciły możliwość decydowania o swoim ciele (...); za kupowanie wyborców, przez co inflacja przekroczyła 18 procent (...); za to, że wykorzystujecie media, za które my płacimy, do tego, by gardzić nami (...); za ministra Czarnka, który wykorzystuje polską szkołę do szerzenia swej fanatycznej propagandy...

Dynamiczny spot Adamiak obejrzało pół miliona osób, z czego 50 tysięcy przyznało

jej po serduszku, a 2 tysiące skomentowało – w większości entuzjastycznie. Tiktoki pt. „Za co nienawidzę PiS” zaczęły się mnożyć. Użytkownik „Verdecci” odpowiedział Foglowi piosenką, którą odsłuchało niemal 4 miliony widzów (treść podobna jak u Dagmary, tyle że do rytmu i z melodią). W efekcie wideo Fogla zniknęło z chińskiej platformy. Do tiktokowej ofensywy ruszył za to (pod koniec kwietnia) minister Czarnek.

– Dzień dobry, cześć, to ja – zaczął. – Dużo było zarzutów po [tiktoku] Radka Fogla. Jestem do waszej pełnej dyspozycji. Tylko jeden warunek: zadawajcie pytania konkretne, z sensem i z rozumem, a nie oparte na manipulacji i kłamstwie podawanym w niektórych mediach – takich jak TVN.

I pytania się posypały: „Dlaczego muszę wychodzić do szkoły o 7.30, a wracać o 17.30?”; „Dlaczego musimy się składać na papier, żeby pisać sprawdziany?”; „Czemu pan kupił wille za 40 milionów?”; „Dlaczego nie poda się pan do dymisji?”; „AnnaŻycka” spytała: „Kiedy wreszcie odpowie pan na zadane tutaj pytania?”.

Czarnek nie odpowiedział, znikł. Dziś „Oficjalne konto Ministra Edukacji i Nauki” (czarnekp) jest puste – ani jednego filmu. Hulają za to fejkowe profile opisane np. „Przemysław Czarnek Lubię Szkołę i Gnębić Uczniów” oraz tym podobne.

NOWICKA: PROFIL Z BOBREM?

– Czarnek to katodziaders – mówi mi Agnieszka (ta, co studiuje w Danii). – Nadaje się może do Radia Maryja, ale nie na TikToka, którego PiS nie podbije, bo jest na to za brzydki i nieautentyczny. Ich filmy są wołaniem: „prosimy o wasze głosy”. Cała ta partia na TikToku jest jak stary cham, który farbuję siwiznę i wdzieczy się w klubie do lasek. Oni TikToka traktują jak wytrych do drzwi od pokoju, w którym siedzi młodzież. Kto ma się na to nabrać – cepy?

– A zatem: „Polityczne lby, wypad z TikToka!”?

– Niekoniecznie wszyscy. Uczciwie podchodzi do sprawy na przykład Wanda Nowicka. Tłumaczy politykę, daje rady uczniom, łapie trendy, nie ukrywa intencji...

Gdy Mentzen nagrał wideo, w którym tłumaczył, że nie dodaje się ananasa do pizzy, Nowicka odpowiedziała tiktokiem pt. „Rząd PiS-u jest jak pizza z anansem”.

W innych nagraniach polityczka tłumaczy np., że brak podręcznika czy nieodrobienie pracy domowej nie mogą skutkować jedynką, ponieważ oceny służą do mierzenia wiedzy, a nie – dyscyplinowania. Z początkiem czerwca zaproponowała 540 tysiącom obserwujących, że zamieni zdjęcie profilowe na obrazek bobra, jeżeli „zostawią pod tym filmikiem 50 tysięcy polubień”. Użytkownicy wkleili (do połowy czerwca) 125 tysięcy serduszek i teraz profil wandanowicka_ zdobi pokraczna figurka odziana w skórę gryzonia.

– Podobno politycy nie dotrzymują słowa, więc popatrzcie... ja dotrzymałam – mówi parlamentarzystka. – Swoją drogą, czy wiecie, że bóbr może spędzić 15 minut pod wodą?

– Łatwiej jest dotrzymać słowa, że się zmieni zdjęcie profilowe, niż że się podwyższy płacę minimalną – mówi mi Mateusz (ten od psich gadżetów). – Poza tym pani Nowicka też nie jest z nami szczerą. Mam uwierzyć, że nagrywa tiktoki dla przyjemności? Walczy przeciw głośy tak samo jak Czarnek.

– Tylko czy popularność na TikToku może w ogóle wpłynąć na wynik wyborczy? – pytam.

Aleksander, poznański student farmacji: – Kto ogarnie Facebooka, Twittera, Instagrama i TikToka, to właściwie ma wzięte wszystkie elektoraty.

Karolina z notariatu: – TikTok na pewno pomoże Mentzenowi. On ma już mandat w kieszeni.

Marcin, kierowca: – TikTok to jedno, życie drugie. W tym drugim ciągle liczą się Kaczor i Tusk. ●

Internet jutra, czyli powrót „doktryny uczciwości”

Orliński



Od dziesięciu lat prowadzę zajęcia o mediach społecznościowych dla studentów dziennikarstwa Collegium Civitas. Ostatnie zajęcia, tuż przed sesją, tradycyjnie poświęcam trendom na przyszłość.

Kiedy uaktualniam tę prezentację, mam okazję, żeby zrobić podsumowanie roku. Na własny użytek widzę też, jak dużo się zmieniło przez te wszystkie lata.

Rewolucyjne zmiany potrafią zająć w tej materii między jednym rokiem a drugim (a czasem nawet między tymi samymi zajęciami ze studentami stacjonarnymi i niestacjonarnymi). Na przykład ban dla urzędującego prezydenta USA z kategorii „nie do pomyślenia” błyskawicznie przesunął się do „banalny symbol naszych czasów”.

Rok temu trendem na przyszłość było metawersum, promowane przez Marka Zuckerberga. Teraz już mogłem te slajdy przesunąć do zajęć o historii mediów społecznościowych – bo sam Zuck zlikwidował dział, który miał się tym zajmować w Facebooku, pośrednio przynajmniej do porażki.

Gdybym miał jednak wskazać jeden najważniejszy trend ostatnich dziesięciu lat, to jest to nakładanie przez demokratyczne państwa kolejnych ograniczeń w mediach społecznościowych. Dziesięć lat temu to się wydawało niemożliwe, bo wszyscy mieli świeżo w pamięci demonstracje przeciwko traktatowi ACTA – zdawało się, że jakiegokolwiek ograniczenia wyprowadzą ludzi masowo na ulice.

Od tego czasu wprowadzono dużo dalej idące regulacje, w przyszłym roku wejdą w życie kolejne. Dużo pisałem w tej rubryce o nowych regulacjach unijnych, ale podobnie inicjatywy podejmują USA, Australia, Kanada, Wielka Brytania – nie ma przed nimi ucieczki.

Sprowadzają się do trzech rzeczy: wymuszania na internetowych korporacjach walki z mową nienawiści, z dezinformacją i nagonkami na konkretne osoby. Zaniedbania będą skutkować drakońskimi karami.

Te regulacje dopiero wchodzą w życie, więc jeszcze nie wiadomo, jak to będzie działało w praktyce. Zaryzykowałbym jednak tezę, że internet czekają największe zmiany od dekady.

Czy to koniec wolności słowa? Nie, to tylko powrót do tego, jak ją rozumiano na Zachodzie pół wieku temu.

W radiu i telewizji zawsze obowiązywały tego typu ograniczenia. Amerykańska czy zachodnioeuropejska telewizja mogłaby stracić koncesję za zaproszenie do programu antyszczepionkowego szarlatana.

To dlatego w XX wieku udało się wyeliminować wiele chorób zakaźnych. Wyobrażacie sobie reakcję dzisiejszego internetu na obowiązkową szczepionkę, która zostawia bliznę na całe życie? Te celebrytki krzyczące na Instagramie, że nie dadzą oszpeścić swojego Alanka?

U zarania radiofonii większość państw przyjęła regulacje podobne do brytyjskich. Jeden podmiot dostawał od państwa monopol na nadawanie. W związku z tym musiał się słuchać państwa, nawet jeśli był firmą prywatną (jak BBC czy przedwojenne Polskie Radio).

W USA postawiono na ograniczony, koncesjonowany pluralizm. Ale już ustawa o radiu z 1927 nakładała na nadawców obowiązek działania w „interesie publicznym”, który późniejsze akty prawne rozwinęły do „doktryny uczciwości” („fairness doctrine”), która nakazywała m.in. dawać tyle samo czasu rządowi i opozycji oraz zabraniała wyrażania własnego stanowiska politycznego (tzw. editorializing).

Czy „doktryna uczciwości” była zgodna z wolnością słowa? Kilka-krotnie testowano to w Sądzie Najwyższym USA.

W wyroku z 1969 sąd uznał, że ta doktryna jest nie tylko zgodna z konstytucją, ale i „niezbędna dla demokracji”. Media nie powinny się jej sprzeciwiać, bo „bez kontroli rządowej byłyby bezużyteczne w kachofonii sprzecznych głosów, z których żaden nie byłby jasno i przewidywalnie słyszalny” (za uzasadnieniem sędziego Byrona White’a).

„Doktrynę uczciwości” zlikwidował w 1987 Ronald Reagan w ramach ogólnej tendencji do likwidacji „kontroli rządowej” (nie tylko w mediach), ale zakaz „editorializingu” w radiu i telewizji zniesiono dopiero za Clintona. Taki wtedy był ponadpartyjny konsensus. Demokraci podobnie jak Republikanie wierzyli w branżową „samoregulację”.

Początki publicznego dostępu do internetu przypadają na szczytową fazę popularności tej wiary. Dlatego internetowe media stały się tym, przed czym przestrzegali sędzią White: „kachofonią sprzecznych głosów”.

Dziś ponadpartyjny i transoceaniczny konsensus jest dokładnie wprost przeciwny. Demokraci i Republikanie, USA i UE mają już dosyć samowolki cyberkorporacji i chcą je zmusić do działania w „interesie publicznym”.

W Unii te regulacje obejmują tylko największe firmy, wpisane przez Komisję Europejską na listę „strażników dostępu”. Zatem jeśli ktoś nie może żyć bez straszenia szczepionkami albo twierdzenia, że nie ma i nie było żadnej pandemii, łądowania na Księżycu, zamachów z 11 września ani wojny w Ukrainie – będzie mógł nadal to robić w innych serwisach.

Choćby w komentarzach pod tekstami „Gazety Wyborczej”.

Wojciech Orliński

Dzieci z syndromem Tourette'a opowiadają

Uważaj NA SŁOWA



Julia: – Wszyscy mieli koleżanki, kolegów, a ja byłam sama. Nikt nie chciał ze mną usiąść. Nikt nie chciał, żebym na przerwach podeszła, pobawiła się. Stałam sama i miałam wrażenie, że wszyscy się na mnie patrzą i się śmieją. Z każdym kolejnym dniem było tak samo i codziennie myślałam, że ktoś w końcu mnie polubi.

Wiktor: – Nie wstawałem z łóżka, nie chciałem jeść. Miałem jedną bliską koleżankę, Michalinę, która mnie bronila. I jednego kolegę, Bartka. Jak się białem z kolegami, którzy mnie zaczepiali, to nauczyciel nie dawał mi dojść do słowa, żebym się wytłumaczył.

Szymon chciałby nie czuć na sobie wzroku dzieci, bo nie ma wpływu na swoją chorobę.

Ida: – Wystąpiłam w spocie o syndromie Tourette'a, bo chciałam się spotkać z dziećmi, które też to mają. Poznałam dużo osób i rozmawiamy ze sobą przez telefon. To mi bardzo pomaga, bo mogę im powiedzieć, z czym mam kłopoty.

DLACZEGO TAK MRUGASZ?

Na całym świecie tę diagnozę usłyszy 8 na 1000 dzieci w wieku szkolnym. Statystyk dotyczących liczby diagnoz w Polsce nikt nie prowadzi. Wszystkie te historie rozpoczyna mimowolny, powtarzający się skurcz jednego lub kilku mięśni.

Między czwartym a piątym rokiem życia dwunastoletnia dziś Julia zaczęła mrugać.

– Poszłam z nią do okulisty, oczywiście prywatnie – opowiada mama dziewczynki. – Dostałyśmy leki na alergię, jednak mruganie się nasilało. A my z mężem jak najęci zaczęliśmy ją pytać: „Dlaczego tak robisz? Coś cię boli?”. Odpowiadała, że coś ją ciśnie w oczach. Po trzech miesiącach mruganie zamieniło się w chrząkanie. Takie „khm”. Poszliśmy do laryngolożki i powiedziała, że z gardłem jest wszystko w porządku, trzeba szukać dalej. W internecie znalazłam informację, że to mogą być tiki na tle nerwowym. U pediatry powiedziałam o moich obawach. Lekarka kazała Julii narysować pieska, córka miała 5,5 roku. W trakcie córka tak się skupiła, że nie było żadnego tików. Pani pediatra oceniła, że doszukuję się czegoś na siłę. Pomyślałam, że może faktycznie wydziwiam. Ale chwilę później do chrząkania znów doszły mruganie i ruch ręką. Takie wyrzucanie tej samej ręki do przodu.

Wtedy trafiłam przez internetowe forum do doktorki z Poznania. Stwierdziła tiki zmienne i jeżdżiliśmy do niej pół roku. Zapisała leki psychotropowe, m.in. Haloperidol, lek na schizofrenię, po których Julka nie była w stanie funkcjonować. Zabierałam ją z przedszkola, bo spała prawie cały czas, była otumaniona. Po czwartej wizycie i kolejnych krzyżówkach leków Julka stała się wobec nas agresywna. Wyzywała nas od głupków, biła. Bałam się, że w przypływie złości chwyci nóż. Powiedziałam lekarce o atakach agresji. Wzięła córkę na bok i zaczęła ją straszyć policją. „Jeżeli mama jeszcze raz mi powie, że jesteś agresywna, to nie wyjdiesz z gabinetu, tylko zabierze cię policja i nigdy już nie wrócisz do domu”. W Julii została trauma, bo potem ile razy gdzieś jechaliśmy, to dopytywała, czy przypadkiem nie jedziemy do tej pani doktor.

Tłumaczyłam koledze, że grzywka mi przeszkadza i dlatego tak ruszam głową, aż w końcu przyznałam, że to taka choroba. Powiedział, że powinnam chodzić do szkoły specjalnej

Diagnozę, że to syndrom Tourette'a, otrzymaliśmy trzy lata temu, kiedy córka miała dziewięć lat. Właściwie całkiem przypadkiem. U Julki wtedy nastąpiło pogorszenie tików, a nasza pani doktor była na zwolnieniu lekarskim. Zaczęłam przeszukiwać fora internetowe i znalazłam nazwisko prof. Piotra Janika z Warszawy. Szybko znalazł dla nas termin i zdecydowaliśmy się na tę wyprawę życia. Mówię tak, bo to było dla nas, z okolic Ostrowa, daleko. On sam ma tiki. Widział Julkę 40 minut i od razu wiedział: zespół Tourette'a. Profesor pomógł w orzecznictwie i Julka ma już orzeczenie o niepełnosprawności.

Jedenastoletni Wiktor także trafił na początku do okulisty. – W wieku sześciu lat mocno mrużył oczy, zaczął unosić ramiona – opowiada mama. – Chrząkanie i popiskiwanie, które pojawiły się rok wcześniej, występowały na przemian. Otrzymał diagnozę, że to stres spowodowany zmianą otoczenia i obowiązkami w zerówce. Dostaliśmy skierowanie do okulisty, na termin za siedem miesięcy. Poszliśmy prywatnie. Pani doktor wysłała nas dalej do optometry, który też nie znalazł powodu intensywnego mrugania. W pierwszej klasie tiki tak się nasiliły, że syn nie mógł się już swobodnie wypowiadać, odchylał głowę w tył powodowało bóle karku i szyi. Dostaliśmy skierowanie do neurologa. Poszliśmy prywatnie. Od października do listopada zaliczyliśmy czterech, dostaliśmy receptę na leki uspokajające. Ostatni neurolog postawił diagnozę: zespół Tourette'a.

Lekarz wytłumaczył, że potrzebujemy stałego kontaktu z neurologiem lub psychiatrą, i wystawił receptę na neuroleptyk Haloperidol. W lutym 2019 roku poszliśmy na pierwszą wizytę do psychiatry, bo syn miał silne stany lękowe. Pani doktor skupiła się na zespole Tourette'a, dodatkowo z czasem włączyła leki na koncentrację. Były próby zmiany

leku na inny, ale kończyły się bardzo mocnym nasileniem tików, sennością, bólem brzucha.

W trakcie lockdownu Wiktor zachorował na depresję i musieliśmy włączyć kolejny lek.

W 2021 roku trafiliśmy do dr. Janika, który jest neurologiem i przyjmuje w Warszawie. Wizyta trwała dwie godziny. Pan doktor rozmawiał ze mną, ale przede wszystkim z Wiktozem. Wykonał mu kilka testów, wyjaśnił dokładnie specyfikę zaburzeń, z którymi syn się boryka.

Wtedy usłyszałam pierwszy raz, że Wiktor prócz zespołu Tourette'a ma ADHD, depresję, lęk, natręctwa. Doktor Janik zasugerował też spektrum autyzmu, choć to wykluczono podczas badania, kiedy Wiktor miał 3,5 roku.

Na następnej wizycie u psychiatry wspominałam delikatnie o rozmowie z profesorem. Usłyszałam, że ona lepiej zna Wiktora.

Jego stan emocjonalny i psychiczny się pogarszał. Trafiliśmy do fundacji AKME i tam miał terapię z panią psycholog. Po kilku spotkaniach zostałam poinformowana, że na 99 procent Wiktor jest jednak w spektrum autyzmu.

Postanowiłam, że zrobię wstępną diagnozę w kierunku spektrum autyzmu (asperger) w poradni. Badanie potwierdziło, że Wiktor jest w spektrum wysokofunkcyjnym.

W międzyczasie zmieniałam psychiatrę, i ta nowa lekarka na pierwszej wizycie potwierdziła spektrum autyzmu i ADHD. Zespołu Tourette'a nie stwierdziła, bo w tym czasie po raz pierwszy od kilku lat nie miał tików. Obecnie leczenie skupia się na ADHD, zespole Tourette'a i negatywnych skutkach odstawienia haloperidolu, czyli problemach ze snem, syn jest też bardzo nerwowy. Czekaemy obecnie na pełną diagnozę w kierunku spektrum autyzmu.

Czternastoletni Szymon około szóstego roku życia zaczął tikać. Neurolog po badaniu przepisał syrop na uspokojenie. Szymon pił ten syrop przez miesiąc, był otepiały i senny. Tiki na jakiś czas minęły, ale z wiekiem zaczęły się pogłębiać.

– Polska rzeczywistość wygląda tak – opowiada mama Szymona – pediatra bada syna, robi badania krwi i nigdzie nas dalej nie kieruje, neurolog rozkłada ręce. Szymek sam szukał dla siebie pomocy w internecie. Pojawiała się cała lista chorób. Byliśmy u laryngologa, okulisty, jakiś lekarz powiedział, że to mogą być pasożyty. Po latach szukania moja szefowa poleciła mi psychiatrę. Syn miał już dziesięć lat. Pani doktor zdiagnozowała syndrom Tourette'a i wdrożyła leczenie: skierowała nas do psychoterapeuty, powiedziała, żeby zacząć farmakoterapię, bo syn miał już wtedy nasilone tiki.

Szymon przysłuchuje się naszej rozmowie i bardzo szybko układa kostkę Rubika. Mówi, że to bardzo proste, wystarczy poznać notacje.

– Powiedziałem rodzicom, że to może być syndrom Tourette'a, bo znalazłem na internecie filmik z chorym człowiekiem – opowiada. – Mówiłem o tym mamie, ale nie uwierzyła. U psychiatry przypominałem jej o tym.

AGATA
CALKOWSKA



FOT. MACIEK JAZWIECH / AGENCJA WYBORCZA.PL



- Wiktor
- Ida
- Szymon
- Julia



Ida dostała diagnozę dwa lata temu. Mama Idy: – Opieka państwa w przypadku syndromu Tourette'a nie istnieje. Umówienie wizyty u neurologa w naszym przypadku jest trudne, mieszkamy koło Bielska, tam w ogóle nie ma neurologa. Raz korzystaliśmy z psychiatry na NFZ w Bielsku, ale pani na wizycie powiedziała nam, że jak haloperidol nie działa na Idę, to ona nie ma lepszych pomysłów. Jeździmy raz na dwa miesiące do Warszawy do prof. Janika na prywatne wizyty, co zawsze jest dla nas wyzwaniem. Z Bielska to pięć godzin w jedną stronę. Przypadek Idy jest bardzo trudny, lekooporny. Próbowaliśmy różnych leków, nawet sprowadzanych z zagranicy. Były to leki na padaczkę, przeciwdrgawkowe, leki psychotropowe, antydepresyjne, bywały próby leków uspokajających, olejki CBD. Nic na córkę nie działa. Jeden lek kosztuje aż 500 zł, zdajemy sobie sprawę, że część rodziców odpada w przedbiegach przez brak pieniędzy.

W momentach tych najgorszych tików stosowaliśmy kombinacje różnych leków. Wymieniamy te leki, sprawdzamy, czy działają, okazuje się, że nie. Próbuujemy następnego. Zanim się okaże, że jakiś lek podziała chociaż troszkę, potrzeba dwóch miesięcy. Żaden lek nie przyniósł wytchnienia.

Robiliśmy wszystko. EEG, diagnozę biofeedback, diagnozę SI. Próbowaliśmy terapii behawioralnej. Przy takim natężeniu objawów i młodym wieku Idy ta terapia nie była możliwa, bo polega na wyczuwaniu alertu tikowego i próbie ignorowania go, wyciszania albo zmiany na inny tik. Ida musiałaby całą dobę skupiać się na tym, żeby spróbować to zrobić, co jest dla niej nieosiągalne. Ale przez te pół roku terapeutka budowała w niej poczucie pewności siebie, akceptację. My też staraliśmy się jej dać wsparcie.

Obecnie dr Janik zapisał lek, którego jeszcze nigdy nie podawał dziecku. Nie jest idealnie, ale wreszcie możemy żyć. Mimo że z obawą o przyszłość, bo zawsze te leki przestają działać po jakimś czasie. Póki co, nie chcąc stracić obecnej poprawy, nie decydujemy się na eksperymentalną terapię ecopipamem, bo to oznacza znowu czas bez leków (najpierw odstawienie obecnych, potem wprowadzanie nowego lub otrzymywanie placebo) rozciągnięty na wiele miesięcy. A to cierpienie Idy, nasze i znowu wycinka z życia.

SINIANKI I RANY

Wszystkich łączy ciągła niewiadoma.

Julia każdego dnia wstaje zupełnie inna. – Są lepsze i gorsze dni – opowiada jej mama. – Są takie, kiedy pot się z niej leje, gdy ma fazy nasilenia tików. Bierze teraz najmocniejszą dawkę leku. Widzę, że on powoli przestaje działać.

Każda zmiana leków niesie za sobą ogromny stres. Musimy powoli wprowadzać ten nowy. Julia nie chodzi wtedy do szkoły. Wszystko ją boli, jest wyczerpana tikami. Bywa bardzo przygnębiona. Oprócz zespołu Tourette'a ma zaburzenia sensoryczne. Od małego nie czesze włosów za ucho, jak była malutka, to reagowała na to źle. Zlekceważyliśmy to. Później cisnęły ją majtki, skarpetki, dresy, legginsy. Obecnie niektóre spodnie ją

cisną, ale rozumie, że trzeba je założyć. Nie znosi obcinania paznokci. Śpi z odkrytymi stopami, bo koldra nie może dotknąć palców. Ręcznik musi być bardzo mięciutki i gładki, nie może być frotowy, bo drażni.

Mama Idy: – Ida ma ataki różnych tików, często po prostu nie jest w stanie funkcjonować. Tikki ruchowe wyginają jej głowę i łokcie.

Dwukrotnie przeżyliście dwumiesięczne okresy, kiedy Ida jednocześnie miała kilka tików. Uderza się, co czasem kończy się krwawieniem. Jednocześnie ma intensywne tiki głosowe, więc zanim coś powie, to dużo czasu mija, żeby zrozumieć jej wypowiedź. Córka miewała takie dni, że nie dawała rady ani siedzieć, ani stać, całe jej ciało uderzało o wszystko. Miała potem siniaki, rany. Była tym wykończona i pół dnia płakała, ja też polykałam łzy, ale nie mogłam jej pokazać, że bardzo mnie to dotyka. Ma czasem problemy z jedzeniem, polykaniem, nie może utrzymać kubka w ręce i się napić. Wtedy ją przytulamy, by nie czuła się samotna. W takich sytuacjach nie da się wyjść z domu czy kogoś zaprosić.

Córka najlepiej czuje się rano, kiedy jest po dłuższym śnie i układ nerwowy jest jeszcze wyciszony. Zwykle do godziny dwunastej jest w miarę okej, a później z godziny na godzinę jest coraz gorzej. Musimy z tym żyć. Ida chodzi na tańce, na jazz. Bardzo lubi te zajęcia, może tam pokazać emocje. Są jednak takie dni, kiedy mówi, że nie da rady pójść, bo ma za dużo tików. Jest bardzo dzielna, brała nawet udział w przedstawieniu szkolnym i dała radę. Bierze życie za rogi i jest waleczna.

Najtrudniejsze są dla nas okresy zmiany lub odstawienia leków. Obecnie Ida dostała się do programu testowania nowego leku. Przez pierwsze kilka miesięcy będzie dostawać albo lek, albo placebo. Obecnie jest w miarę stabilnie, dajemy radę żyć według ustalonego harmonogramu. Odwiedzamy dziadków, robimy zakupy. Ale takie miejsca jak kościół zupełnie odpadają, bo córka potrafi być głośna i zwraca na siebie uwagę.

PIOTR CHOJNA, wiceprezes Polskiego Stowarzyszenia „Syndrom Tourette'a”

Dzieci z ZT (zespół Tourette'a) potrzebują akceptacji i zrozumienia ze strony bliskich oraz społeczności szkolnej. Musimy zrozumieć, że tiki nie wynikają z braku kultury, złego wychowania czy złośliwości, ale są objawem choroby. Ważne, by coraz więcej lekarzy i terapeutów wiedziało, czym jest zespół Tourette'a oraz jak postępować z pacjentem z tikami.

Polskie Stowarzyszenie „Syndrom Tourette'a” przeprowadziło wiele szkoleń i warsztatów dla nauczycieli i pracowników szkół, ale jest tu jeszcze wiele do zrobienia. Na ukończeniu jest wyprawka edukacyjna dla uczniów z ZT. Stowarzyszenie stara się, by uczniowie z ZT mogli otrzymać orzeczenie o potrzebie kształcenia specjalnego. Wtedy szkoły byłyby zobowiązane do uwzględnienia indywidualnych potrzeb uczniów z tikami oraz zapewnienia wielospecjalistycznej opieki. Otrzymałyby też niezbędne środki na realizację tych działań.

Mama Wiktora mówi, że przez chorobę nigdy nie można nic zaplanować. – Czasem tiki nie pozwalają zjeść spokojnie żadnego posiłku. Staram się to obracać w żart. Nieraz mnie syn przestraszył, jak na przykład jechaliśmy samochodem i musiał coś krzyknąć. Kiedy wie, że będzie to brzydkie słowo, stara się je powiedzieć bardzo szybko, aby otoczenie nie zrozumiało. Kiedy miał osiem lat, pierwszy raz powiedział, że nie chce żyć.

Szymek ma kopropaksję: przymus pokazania środkowego palca, ale nauczył się tak to robić, by nie było tego widać. Wkłada wtedy dłoń pod ławkę albo do kieszeni spodni. Przez półtora miesiąca miał koprolalię. To niemożliwa do opanowania potrzeba wypowiedziania wulgaryzmów.

NAUCZYCIELKA TEŻ SIĘ ŚMIAŁA

Wiktor otrzymał z poradni psychologiczno-pedagogicznej orzeczenie o kształceniu specjalnym z powodu zagrożenia niedostosowaniem społecznym. – Czy taka diagnoza pomaga w szkole? Nie. Z taką opinią był postrzegany jako dziecko trudne i niegrzeczne.

W pierwszych klasach szkoły podstawowej miał tiki, ale dzieci to akceptowały. Jego wychowawczyni go wspierała. Jak czuł, że potrzebuje, mógł wstać, iść na koniec klasy wyciszyć się albo wytykać, i wracał do lekcji. Wszystko się zmieniło, gdy poszedł do czwartej klasy, zmienił się wychowawca, a dzieci zaczęły go przedrzeźniać. Tiki się zaostrzyły. Mruganie, ruchy ramion, ruchy głowy, musiał skakać, żeby się wytykać. Syn ma też nadwrażliwość sensoryczną, bardzo źle reagował na dotyk obcych osób. Dzieci szarpały go, bo wiedziały, że będzie wtedy agresywny. Często był wyzywany od głupków. Była grupa chłopców, która naśladowała jego tiki, co pogorszyło jego stan psychiczny. Zaczynało się od zaczepek słownych, a Wiktor wyskakiwał z rękoma. Karanie go ciągłymi uwagami nie dawało efektów, bo on miał poczucie niesprawiedliwości. Kiedy wychowawczyni mówiła, że za zachowanie zaraz trafi do dyrektorki, odpowiadał, że dobrze, bo lubi tam być. Miał z tą panią dobre relacje, bo czuł się wysłuchany. Nauczyciele wiedzieli o jego problemach. Ale i tak wiele razy słyszałam, że Wiktor jest trudny, a ja rozszczeniowa. Na początku roku szkolnego zaniósłam wychowawczyni krótką książkę o syndromie Tourette'a, na przeczytanie nie znalazła czasu. To jak mamy rozmawiać?

Wiktor był szczęśliwy, jak nastąpiła pandemia. Nie to dziecko. Wyciszył się. Zrozumiałam, że jedynym wyjściem jest edukacja domowa. Od września jest uczniem Szkoły w Chmurze. Dziś miał test z biologii, odpowiedział na pytania w parę minut na 90 procent, ustny zdał na 100.

Problemy z akceptacją nie ominęły Julii. – Odpychali ją. W zerówce dzieciaki miały występy i często na nie razem wyjeżdżały. Julka to bardzo lubiła – opowiada mama dziewczynki. – Przedszkolanka spytała raz, czy jestem pewna, że może

jeździć. Myślałam, że Julia sprawia jakieś trudności. Usłyszałam, że nie, ale ludzie się patrzą. Poczulałam, jakbym dostała w twarz. To był trzeci rok choroby, nie umiałam na te słowa zareagować, bo sama tego nie akceptowałam. Myślę czasami, że chyba także powinnam mieć terapię, bo są chwile, że wysiadam. Julka długi czas kompletnie nie akceptowała choroby i prosiła, żeby nic nie mówić, bo ona się wstydzi. Kiedy miała dziewięć lat, zaczęła pytać wieczorami, dlaczego się taka urodziła. Mówiła, że nie chce żyć, czemu akurat ona, co ma zrobić, żeby tego nie było?

Jeden chłopiec Julkę cały czas zaczepiał. Odpowiadała mu, że grzywka jej przeszkadza i dlatego tak rusza głową, ale pewnego dnia przyznała, że to taka choroba. On na to, że powinna chodzić do szkoły specjalnej. Wtedy zainterweniowałam u dyrektorki. Chłopiec przeprosił.

Często też zdarzało się, że dzieci krzyczały: „Uwaga, idzie Julka, uciekamy, nie bawimy się z nią. Szybko uciekamy, żeby nas nie znalazła”. Córka zostawała sama na korytarzu, na przerwach. Zgłosiłam tę sytuację do pedagog. Stwierdziła, że to taka zabawa, że przesadzam. Nie rozumiała, że Julkę to rani. Opuściłam. Julia cały czas przeżywała to, jak traktują ją dzieci. Ale im więcej interweniowałam, tym było dla niej gorzej.

W klasie jest chłopczyk z cukrzycą i wychowawczyni opowiadała o tej chorobie. Wiele razy prosiłam o pogadankę o zespole Tourette'a. Po wielu prośbach zaproponowała mi, żebym opowiedziała o chorobie rodzicom na zebraniu. A mnie zależało, by to dzieci bardziej zrozumiały Julkę.

Dopiero od piątej klasy trochę odetchnęłam. Może dzieci wydorosłały, stały się mądrzejsze. Zaczęły akceptować chorobę Julki. Nawet od czasu do czasu się z nimi spotka poza szkołą, co wcześniej było niemożliwe. Mam wrażenie, że ta zmiana to zasługa nowego wychowawcy. Jest empatyczny. Zauważył problemy Julki. Nieraz słyszałam, że na godzinach wychowawczych rozmawia z dziećmi o akceptacji chorób.

Mama Szymona opowiada, że syn nigdy nie chciał rezygnować ze szkoły i kontaktu z dziećmi. – Przez długi czas myślałam, że jest akceptowany. Ale grupka chłopców się z niego śmiała, zaczepiali go, naśladowali jego tiki. U Szymka to kręcenie głową, mruganie. Dzieci mówią o nim, że jest męczący, że celowo zwraca na siebie uwagę.

Ostatnio ma problem z dziewczynką, która go zna od przedszkola. Naśladuje jego tiki. Zresztą nawet nauczycielka potrafiła się z niego śmiać. Choć zgłaszałam, że on jest diagnozowany u neurologa.

Nie mógł wytrzymać tych 45 minut na lekcji. Jego pierwsza nauczycielka zwracała mu uwagę, żeby nie cykał jej zdjęć oczami. Dzieci się z tych uwag śmiały, a on przecież nie mógł nad tym zapanować.

Kolejna nauczycielka to była katechetka. Szymon miał tik pokazywania środkowego palca i chował rękę pod biurko, ale ona ten ruch zauważyła i zwróciła mi uwagę, że jest niegrzeczny, krnąbrny. Wysłuchiwałam uwag, że jest rozpuszczony, że trzeba mu dać w tyłek.

Od samego początku miałam dobry kontakt ze szkolną pedagog, która pracowała wcześniej z dziewczynką z syndromem Tourette'a. Zrobiliśmy w klasie lekcję o chorobie Szymona, wydrukowaliśmy dla dzieci ulotki.

Szymon dużo zapamiętuje z lekcji. Jeśli go zainteresuje jakiś przedmiot, to zadaje sto pytań. Jest trzecim najlepszym uczniem w klasie. Miał plany pójścia na weterynarię, teraz myśli o programowaniu.

W szkole ma teraz czterech dobrych kolegów, utrzymują kontakt poza lekcjami. Akceptują go. Co będzie potem? Nie wiem. Szymon idzie do szkoły średniej. Nasiliły mu się tiki głosowe i wiem, że będzie zwracał na siebie uwagę.

NIE JESTEM GORSZA

Wiktor, Julia, Ida i Szymon wystąpili razem w spocie „Uważaj na słowa” o raniących słowach, które dotykają dzieci z syndromem Tourette'a.

Wiktor kontynuuje edukację w Szkole w Chmurze. –Przez tamtą szkołę zachorowałam na depresję. Nie wstawałam z łóżka, nie chciałam jeść. Pani psychiatra przepisała mi wtedy nowe leki. W szkole najtrudniejsze było znalezienie przyjaciół. Miałem jedną bliską koleżankę, Michalinę, która mnie broniła. I jednego kolegę, Bartka. Część osób znałem z przedszkola, ale też doszły inne osoby. Z nimi było najtrudniej. Jak się białem z kolegami, którzy mnie zaczepiali, to nauczyciel nie dawał mi dojść do słowa, żebym się wytłumaczył. Nie chciałem chodzić do szkoły, bo byłem prześladowany, wyzywany i ludzie się wyśmiewali z moich tików. Szkoła zdalna jest super. Byłem dzisiaj

na korepetycjach z informatyki i zrobiliśmy z panią wszystkie karty pracy. Teraz zapuszczam włosy na peruki dla chorych na raka. Mam przyjaciół z osiedli obok, to Vanessa i Dawid. Poznaliśmy się, jak poszedłem do lasu budować szałas i spotkałem tam ich. Zapytałem, czy mogę budować, i się zakumplowaliśmy.

Na pewno pójde do technikum, bo chcę szybko znaleźć dobrą pracę i dużo zarabiać. Interesują mnie militaria, samochody i II wojna światowa.

W spocie o zespole Tourette'a chciałem pokazać, co przeżywają dzieci takie jak ja.

Sprecyzowany pomysł na siebie ma też dziesięcioletnia Ida, która uczy się w szkole Montessori. – W przyszłości bardzo chciałabym zostać psychologiem, pomagać ludziom. Podoba mi się też zawód aktorki i modelki. W szkole najwięcej trudności mam z pisaniem i czytaniem. Najbardziej lubię matematykę, język polski. Bardzo też lubię język angielski. Mamy w szkole fajną panią psycholog, z którą mamy zajęcia. W przedstawieniu szkolnym grałam pracownika Ebenezera Scrooge'a z „Opowieści wigilijnej”. W jednym momencie trochę musiał mi pomóc brat, ale dałam sobie radę.

Cieszę się, że mam zwierzęta, mój kot mnie uspokaja. W pierwszym roku szkoły się bałam reakcji dzieci na moje tiki. Że będą się ze mnie śmiały. Mam w szkole trzy bliskie koleżanki: Anię, Emilę i Kingę. Jak wstaję rano, to najgorsze są tiki. Trudno mi się polyka jedzenie, np. dziś trudno mi było zjeść obiad.

Ale teraz już nie martwię się tak bardzo chorobą jak na początku. Wystąpiłam w spocie o syndromie Tourette'a, bo chciałam się spotkać z dziećmi, które też to mają. Poznałam dużo osób z tourette'em i rozmawiamy ze sobą przez telefon. Ucieszyłam się, bo pierwszy raz spotkałam dzieci, które też mają tiki. To mi bardzo pomaga, bo mogę im powiedzieć, z czym mam kłopoty.

Czternastoletni Szymon chce zostać meteorologiem, fascynuje go chemia, wzory i doświadczenia. Opowiada, że mógłby pracować w laboratorium. Przynosi z pokoju obok książkę o tornadach i opowiada mi o skali Fujity, która ocenia poziom intensywności zjawisk atmosferycznych. Mówi, że w codzienności z syndromem Tourette'a najtrudniejsze jest życie z innymi. Chciałby nie czuć na sobie wzroku dzieci i ich ocen, bo nie ma wpływu na swoją chorobę.

Julia chciałaby być architektem. – Miałam też plany na inne zawody, ale niestety z moją chorobą nie mogę być kosmetykiem albo lekarzem medycyny estetycznej. Od kiedy mam siostrę, wiem, że zawsze będę miała bliską osobę. Nudziło mi się samej i czułam się samotna. Nawet kuzynki niekiedy nie miały ochoty ze mną przebywać.

Julia siedzi obok mamy przy stole, mruga, kręci głową i porusza rękoma. Uśmiecha się. Pisz na kartce, bo z emocji nie może mówić. Mama czyta: „Ja się wtedy tak bardzo przestraszyłam, płakałam” – to o lekarce, która straszyla policją.

Widzę, że Julia bardzo chce mi coś powiedzieć, ale zacina się po kilku niezrozumiałych sylabach. Piszę mamie na kartce, czy może wziąć tabletkę ziołową na uspokojenie. Mama pozwala.

A potem Julia dodaje: „Mam teraz tiki, bo się cieszę z tego wywiadu. Że pisze pani o dzieciach z tą chorobą”.

Umawiamy się, że porozmawiamy, pisząc do siebie. Pamięta moment diagnozy i swój smutek, rozmowę mamy z lekarzem. Dziś się już przyzwyczaiła, chociaż trudno jest w te gorsze dni. Doświadczenia szkolne opisuje tak:

„Pamiętam, że bardzo się denerwowałam, nie lubię tego sobie przypominać, bo nikt nie chciał ze mną usiąść. Wszyscy mieli koleżanki, kolegów i połączyli się w pary, a ja byłam sama. Z każdym kolejnym dniem było tak samo i codziennie myślałam, że ktoś w końcu mnie polubi. Nikt nie chciał, żebym na przerwach do kogoś podeszła, pobawiła się. Stałam sama i miałam wrażenie, że wszyscy się na mnie patrzą i się śmieją. Nie wiedziałam, gdzie iść i co robić. Co chwilę mam inne tiki, nieraz się kręcę (mama mówi, że jak baletnica), innym razem mam tiki głosowe. Jest ich dużo i są różne. Obecnie nikt mi nie dokucza i mam nadzieję, że tak zostanie”.

Pytam o najgorszy dzień w szkole.

„Ten, gdy chłopak z mojej klasy powiedział, że skoro mam tiki, to powinnam iść do szkoły specjalnej. Wtedy pomyślałam, że jestem nienormalna”.

Dlaczego wystąpiła w spocie? „Ponieważ chciałam wszystkim pokazać, że też coś znaczą i że nie jestem gorsza, tylko taka jak inni”. ●

Czy Litwini polubią Polaków?

Na szcze

Musimy się pogodzić z tym, że istnieją dwie prawdy i dwie opowieści o tym mieście.

Nie jest oczywiste, że Polska przed II wojną okupowała Wilno. Tak samo jak to, że tego nie robiła

Z LITEWSKIM HISTORYKIEM

ALVYDASEM NIKŽENTAITISEM

ROZMAWIA **EWA WOŁKANOWSKA-KOŁODZIEJ**

– Od dziecka wiedziałem, że porządny Litwin nie może ufać Polakowi, bo ten zawsze go oszuka.

Skąd ta wiedza?

– Chyba wyssałem ją z mlekiem matki.

Mądrość pokoleń?

– Sam do końca nie wiem, czy przeszła na mnie bardziej z opowieści dziadków i rodziców, czy raczej ze szkoły. W głowie dziecka Polska była tym złym sąsiadem, który regularnie Litwinom coś zabiera, niczego nie dając w zamian. Dużo słyszałem o litewsko-polskich walkach o Wilno w dwudziestolecu międzywojennym. Nijak nie mogłem zrozumieć, dlaczego Litwa po prostu tej Polski nie pokonała. Aż któregoś dnia spojrzalem na mapę i porównałem wielkość obu państw. Wtedy zrozumiałem.

Gdzie się pan wychowywał?

– Na wsi niedaleko miasta Jurbarkas, przy granicy dawnych Prus Wschodnich. Mieszkało tam sporo ewangelików, o których mówiło się, że są ziemczonymi, czyli nieprawdziwymi, Litwinami. A jeśli ktoś żenił się z Rosjanką lub Polką czy wychodził za żonę za Rosjanina lub Polaka, był uważany za zdrajcę. Choć w naszej wsi żadnych Polaków nie było, zostałem do Polski wrogo nastawiony.

Czym zajmowali się rodzice?

– Nie mieli możliwości uczenia się, bo większość mojej rodziny została wywieziona na Syberię. Rodzice pomagali tym krewnym, którzy zostali. Mama sprzątała w szkole, tata pracował w kolchozie. To były trudne czasy. Pamiętam, jak ojciec pokazywał mi rozległe ziemie, które należały kiedyś do moich dziadków, ale po chwili podkreślał, że byli oni ubogimi chłopami. Rodzice bardzo długo ukrywali, z jakiej rodziny pochodzę, że brat mojego dziadka lub pradziadka był księdzem. Wrócił z emigracji w Ameryce i niedaleko zamku Poniemuń wybudował salezjanom budynek klasztorny. Chodziłem tam

ęście byłem niewyspany



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

do szkoły, ale nie miałem o tym pojęcia. Podobnie jak o tym, że w międzywojniu ten sam krewny wykupił też sam zamek, chcąc stworzyć w nim obserwatorium. Jedyne przesłanki, że pochodzę z zamożnej niegdyś i świetnej rodziny, były takie, że moi rodzice – w odróżnieniu od rodziców moich kolegów – zachęcali mnie do czytania książek. W innych domach było to uważane za nicnierobienie. A ja, jeśli czytałem, byłem zwolniony z prac w gospodarstwie. Z czego korzystałem, czytając wciąż więcej i więcej.

Kiedy zaczął pan zmieniać zdanie co do Polski?

– Kiedy w 1979 roku wyjechałem do Wilna na studia historyczne, większość studentów myślała jak ja. W środowisku historyków niekwestionowany był pogląd, że wszyscy sąsiedzi Litwę krzywdzili, a najbardziej Polska. No, może na równi z Rosją. Bo oczywiste było, że Litwa nie znalazła się w Związku Radzieckim dobrowolnie. Mieliśmy nawet profesorów, z którymi dało się o tym otwarcie dyskutować.

Zdanie na temat Polski zacząłem powoli zmieniać pod wpływem mojego profesora Edvardasa Gudavičiusa. Jako jedyny wykładowca patrzył na Polskę inaczej. Z wykształcenia był inżynierem, historię skończył zaocznie. Mieszkał w Kownie, gdzie w odróżnieniu od Wilna dało się oglądać telewizję polską. W czasach sowieckich wydawała się ona oazą wolności i wielu Litwinów nauczyło się dzięki niej polskiego. Gudavičius wniósł do historii inżynierskie myślenie – logiczne, bez uprzedzeń. Tłumaczył, że droga Litwy do Europy zawsze szła przez Polskę. Mówił, że na przykład gdyby nie unia krewska, możliwe, że stolicą Rosji byłoby dzisiaj Wilno, a my

wszyscy mówilibyśmy po rosyjsku. Co najmniej połowa książek z jego listy lektur była po polsku. Jeśli któryś student powiedział, że nie zna tego języka, tylko rzucił: „Co ja na to poradzę? To trzeba przeczytać”. Zresztą szacunek do polskiej szkoły historiograficznej był na uniwersytecie ogromny. To było niekwestionowane, że historyk powinien znać język polski.

Uczyliście się?

– Ja głównie z gazety „Trybuna Ludu”, którą dało się kupić w Wilnie. Znałem rosyjski, więc próbowałem przez analogię zrozumieć znaczenia słów. Na stu-

• **Antylitewski wiec w Wilnie, marzec 1938 r. Oba kraje nie utrzymywały stosunków dyplomatycznych, zamknęto granicę, nie działały poczta i łączność telefoniczna**

diach nie mieliśmy żadnych kursów, nawet słownika. Pamiętam, że w „Trybunie Ludu” regularnie pojawiał się słowo, którego nijak nie mogłem zrozumieć: „mleko”. Długo się głowiłem, w końcu któryś kolega powiedział: „Głupi, to przecież mo-ło-ko”.

W Wilnie chodziliśmy też do księgarni Draugystė (lit. przyjaźń), gdzie można było znaleźć polskie książki historyczne. W efekcie z czytaniem po polsku nie miałem problemów. Zresztą nie było wyjścia. Na seminariach profesor rzucił temat i mówił: „Zacznijcie dyskutować”. Kiedyś po dziesięciu minutach nikt nie zaczął, więc wstał, powiedział, że nie jesteśmy przygotowani, i wyszedł. Ależ to był wstyd, ależ skandal.

Dobrze pan mówi po polsku.

– Kiedy nauczyłem się biegle czytać, wydawało mi się, że w związku z tym potrafię również mówić, pojechałem więc w 1989 roku z referatem na moją pierwszą konferencję do Torunia.

To zwiastuje katastrofę...

– W Litwie przyjęte było, że wieczorem przed konferencją spotkania trwają nie dłużej niż do północy, następnie podaje się kawę i to znak, że wszyscy mają się rozejść. Ale jestem w tym Toruniu, czekam zmęczony na tę kawę, ale nic się nie dzieje. Naukowcy piją, rozmawiają i ostatecznie do hotelu poszedłem o piątą rano. Wystąpienia zaczynały się o dziewiątej. Pierwszy raz w życiu miałem wygłosić publicznie referat. Pamiętam ten moment, kiedy strasznie niewyspany staję przed ludźmi, chwytam się mównicy, próbuję coś mówić, zaczynam gestykulować i tracę

*Wszyscy sąsiedzi
Litwę krzywdzili,
a najbardziej Polska.
No, może na równi z Rosją*

orientację, popychając mównicę, która z hukiem spada na ziemię!

Jak zareagowała publiczność?

– Na sali siedział bardzo znany profesor Marian Biskup. On tę sytuację odebrał w ten sposób, że ja – młody historyk – bardzo emocjonalnie próbuję udowodnić zasadność swoich argumentów. I bardzo się mu to moje zaangażowanie spodobało! Załatwił mi potem sporo wykładów, poznał ze znaczącymi osobami ze świata nauki. Kto wie, może gdybym wtedy był wyspany, nie zrobiłbym w Polsce żadnej kariery.

A co z antypolskimi stereotypami?

– Już w czasach „Solidarności” zacząłem trochę inaczej patrzeć na Polskę. Polska i Rosja były naszymi wrogami. Ale skoro Polska zaczęła kopać dolki pod Związkiem Radzieckim, to pojawiła się myśl: „Może nie jest ona aż tak zła?”. Poczułem coś w rodzaju sympatii. Ale największy wpływ miało jedno wydarzenie. Wracalem z Niemiec przez Polskę. Zatrzymałem się w Toruniu u Jana Kostrzaka, historyka, później pierwszego ambasadora Polski w Estonii. Był początek roku 1990, czuć było narastające napięcie na linii Wilno – Moskwa. Rodzina Jana mieszkała bardzo skromnie, nie przelewało im się. Zanim pojechaliśmy na pociąg, Jan z żoną pobiegli do apteki i wydali całe swoje oszczędności na lekarstwa, opatrunki, bandażę – wszystko, co może się przydać, jeśli w Litwie dojdzie do krwawych starć z Rosjanami. Mieli doświadczenie z działalnością w „Solidarności”, więc wiedzieli, co kupować. To, że oddali swoje ostatnie pieniądze, zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Jak myślę o tamtej nocy, czuję przede wszystkim zdziwienie i wdzięczność. Nigdy nie poznamy wszystkich przedstawicieli jakiegoś narodu. Ja miałem to szczęście, że moim pierwszym polskim przyjacielem został taki człowiek... Potem coraz częściej jeździłem do Polski na konferencje, z polskimi historykami spotykałem się też w krajach zachodnich. Polska stawała się dla mnie coraz bardziej ciekawa.

Wcześniej w ogóle nie była?

– Podam przykład historyczny. W 1923 roku w litewskiej gazecie ukazał się obszerny artykuł opisujący sytuację wewnętrzną w Polsce. Inne litewskie gazety zareagowały oburzeniem: „Po co my mamy cokolwiek o Polsce wiedzieć? Polacy to bandyci, złodzieje i porządny Litwin nie musi czytać o tym, co u nich się dzieje”. Ten przykład wyjaśnia, dlaczego przez tyle lat Litwini nie interesowali się Polską. Ciekawość była zablokowana przez strach. Informacja mogła przecież podświadomie wzbudzić jakieś pozytywne emocje i sprawić, że Litwin ciepłej spojrzy na tego sąsiada, o którym rodzice uczyli, że można po nim spodziewać się wyłącznie świństw. Jakiś czas temu w Warszawie zapytano mnie podczas wykładu: „Dlaczego Litwini tak nie lubią Polski i czemu to nastawienie tak powoli się zmienia?”.

Co pan odpowiedział?

– Że nic w tym dziwnego, skoro co najmniej cztery pokolenia Litwinów – od zajęcia Wilna w 1920 roku – były uczone, że Polakom nie należy ufać. Takie wydarzenia historyczne jak unia krewska, unia lubelska były przedstawiane jako niekorzystne dla Litwy. Uczono nas, że z Polską trzeba walczyć o niepodległość, o Wilno, o Wileńszczyznę. To weszło w krew. Nie minęło nawet jedno pokolenie, odkąd uczymy patrzenia na wspólną historię nieco inaczej. Litwini zaczęli już postrzegać Polskę jako normalnego sąsiada, nie tylko jako stację benzynową na trasie do Berlina. Odkryli nie tylko polskie sklepy, ale i kraj z ciekawą kulturą. Mnóstwo osób jeździ do Polski na wakacje. A ostatnio Polacy obalili jeszcze jeden negatywny stereotyp na swój temat – złe drogi. Do niedawna Polska była ich synonimem.

No i w odróżnieniu od Litwy ma góry.

– Ma też co najmniej dwa muzea – Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku i Muzeum Bitwy pod Grunwaldem w Stębarku – w których są napisy albo audioprzewodniki po litewsku. To się Litwinom bardzo podoba. Ceniemy takie symboliczne gesty, bo są oznaką szacunku. Zresztą nie tylko dla nas. Jakiś czas temu zamieszkałem we wsi Suderwa na Wileńszczyźnie, gdzie żyją litewscy Polacy. Moje słownictwo polskie na temat gospodarstwa domowego jest raczej ubogie, ale od początku próbowałem się porozumiewać z sąsiadami w ich języku. Dla nich ważny był sam fakt, że się staram. Taki



Alvydas Nikžentaitis – litewski historyk, dyrektor Instytutu Historii Litwy, współtwórca i przewodniczący Forum Dialogu i Współpracy im. Jerzego Giedroycia

gest jest znakiem, że szanują ich jako osobną grupę etniczną. Takie drobne rzeczy zbliżają ludzi.

Ja mówię po polsku bez lokalnego akcentu, więc Litwini biorą mnie zazwyczaj za Polkę z Warszawy. Niedawno usłyszałam: „Jak ładnie pani mówi po polsku. Jak słyszę miejscowych Polaków, zbiera mi się na wymioty”.

– Pani postrzega tę sytuację negatywnie, a ja się cieszę. Wreszcie Litwini zaczęli patrzeć na Polaków z Litwy i Polaków z Polski jako dwie odrębne grupy, z których przynajmniej ta druga budzi pozytywne emocje. Do niedawna wszyscy Polacy w oczach Litwinów byli źli. Kiedy w latach 1989-90 miejscowi Polacy stworzyli plan autonomii Wileńszczyzny, w Litwie mówiło się, że te separatystyczne działania są wspierane przez Warszawę, i dlatego w latach 90. Polska była uważana w Litwie za wroga numer jeden. Odżył stary niepokój: „Polska znowu chce zagarnąć Wilno”. Dopiero w 1994 roku Polska podpisała z Litwą, jako z ostatnią z republik postsowieckich, traktat o przyjaznych stosunkach i dobrosąsiedzkiej pomocy. Wcześniej Litwa żądała, żeby Polska przyznała się do okupacji Wilna i przeprosiła. Polska nie mogła tego zrobić. Autorzy traktatu znaleźli więc inne rozwiązanie.

Jakie?

– Zapisano: stolicą Polski jest Warszawa, a stolicą Litwy jest Wilno.

To wystarczyło?

– Tak, to był kompromis. Poza tym nieoficjalnie dogadano się, że oba państwa nie będą wspierały publicznych debat na temat dawnych stosunków polsko-litewskich oraz Armii Krajowej. Historia miała być zostawiona historykom. To chyba była zła decyzja.

Dlaczego?

– W ciągu kilku lat historycy polscy i litewscy w swoim gronie wszystko sobie wyjaśnili, ale społeczeństwo o tym się nie dowiedziało.

Co dokładnie sobie wyjaśnili?

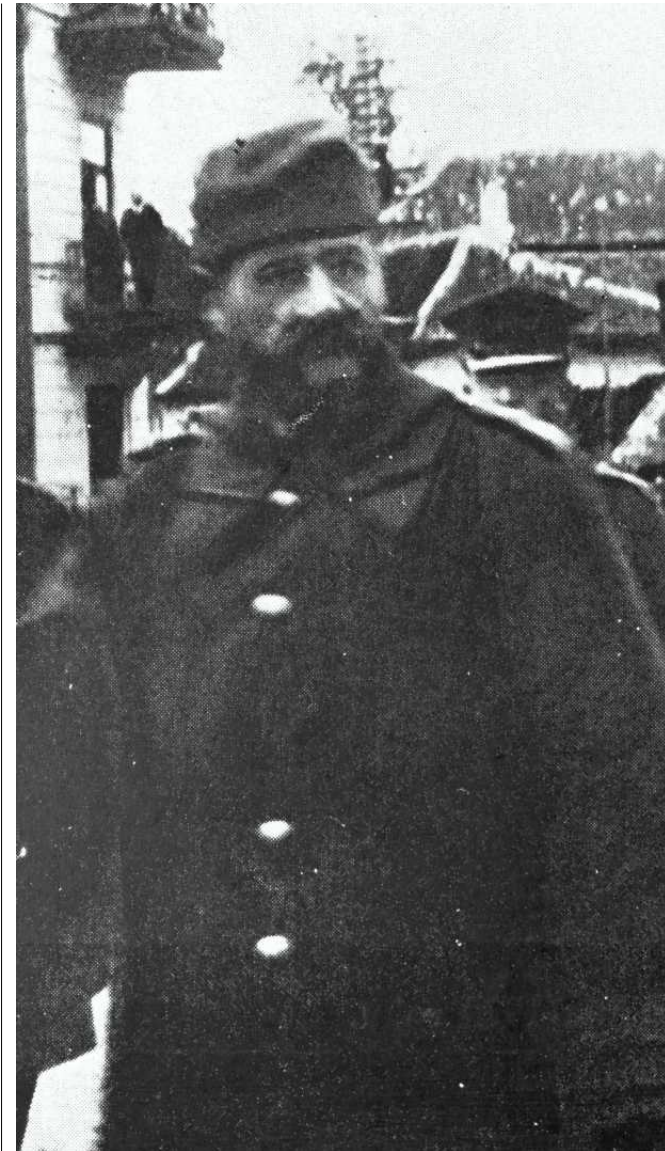
– Zaczęliśmy się przyglądać temu, dlaczego inaczej interpretujemy te same zdarzenia. Weźmy temat Armii Krajowej. Należeli do niej Polacy, którzy nie mogli sobie wyobrazić swojej przyszłości bez przynależności do państwa polskiego. Siłą rzeczy Litwinów uważali więc za wrogów. Z kolei Litwini walczyli przeciwko Armii Krajowej, ponieważ uważali, że w 1920 roku, w czasie zajęcia Wilna, doszło do niesprawiedliwości, którą trzeba odwrócić. Zarówno Polacy, jak i Litwini byli patriotami swoich społeczności, byli przez nie ukształtowani, więc nie mogli w tamtym okresie zachowywać się inaczej. Historycy litewscy po wielu rozmowach z kolegami z Polski zrozumieli, dlaczego z perspektywy polskiej żołnierze Armii Krajowej są bohaterami, a historycy polscy musieli przyjąć, dlaczego nie ma szans, by w ten sposób patrzono na nich w Litwie. Zresztą jesienią robimy w Instytucie Historii Litwy dużą konferencję pod tytułem „Do kogo należy Wilno?”.

Żartuje pan.

– Pamiętam, jak w Polsce trwały dyskusje o tym, czy w nowych paszportach może się znaleźć wizerunek Ostrej Bramy. Zostałem zaproszony do studia telewizyjnego, by to skomentować. Chciałem zażartować, cytując marszałka Piłsudskiego, który mówił, że Polska jest jak obwarzanek – w środku pusto, a to, co najlepsze, jest na obrzeżach. Skoro Polacy nie mają nic swojego do umieszczenia na paszportach, trudno – niech biorą naszą Ostrą Bramę. Ale przed wejściem na antenę rozmawiałem z prezydentem Valdasem Adamkusem, który stwierdził, że to nie jest dowcipne. I zrezygnowałem. Z kolei Adam Michnik często powtarza: „Po co nam Wilno, skoro nie ma już granic i jeśli tylko chcemy, możemy wsiąść do samolotu i tu przylecieć?”. Na konferencji będą rozmowy podsumowujące okresy rywalizacji o Wilno. Dyskusje o aspiracjach terytorialnych i kulturowych Białorusinów, Żydów, Polaków, Litwinów. Chcę zaprosić na nią również przedstawicieli wielkich rodów, by zapytać, czy oni roszczą sobie prawo do miasta. Zresztą niedawno ambasadorem Polski w Litwie został Konstanty Radziwiłł.

Jak komentowano w Litwie wybór Radziwiłła na ambasadora?

– Żartowaliśmy w swoim środowisku, że rząd Polski zainwestował fortunę w restaurację pałacu



Paców w Wilnie, gdzie znajduje się polska ambasada. Ale kto to widział, żeby Radziwiłł siedział u Paców? Tylko tyle.

No, dobrze, a kiedy jest pan pytany o to, czy Polska okupowała Wilno, to co pan odpowiada?

– To mówię, że niestety zdarzają się sytuacje, kiedy mogą istnieć dwie prawdy. Gdy na początku XX wieku decydowały się losy Wilna, w grę wchodziły takie argumenty: etniczny – czyli przedstawiciele jakiegoś narodu mieszkają w tym mieście – i argument historyczny. Jeśli chodzi o kwestie etniczne, to Wilno było polsko-żydowskim miastem, jeśli natomiast o historyczne – litewskim. Polacy w pierwszej połowie XX wieku nie mogli Wilna nie zająć, podobnie jak Litwini nie byli sobie w stanie wyobrazić swojego odrodzonego państwa bez tego miasta. Często przywołuję cytat z Tomasa Venclovy: „Wilno dla Litwinów było tym, czym Jerozolima dla Żydów”. W Jerozolimie nie było już Żydów, tak samo jak w Wilnie sto lat temu mieszkało tylko kilka procent Litwinów. Polska strona musi jednak zrozumieć, jak wielkie było znaczenie symboliczne tego miasta dla nas. Musimy żyć z dwoma prawdami i dwoma opowieściami o tym samym mieście.

Ale jak uczyć historii?

– Istnieje polsko-litewska komisja podręcznikowa, która radzi autorom, w jaki sposób pisać o spornych okresach historycznych. Litewskim autorom proponuje się, żeby pisząc o roku 1920, nie używali terminu „okupacja polska” – i rzeczywiście większości litewskich historyków nie trzeba do tego zmuszać. Mamy natomiast pewien problem z naszymi polskimi kolegami, którzy rok 1939 zwykli nazywać początkiem okupacji litewskiej. Skoro mamy dwie prawdy i nie jest oczywiste ani to, że Polska okupowała Wilno, ani to, że tego nie robiła, i większość litewskich historyków zgadza się z tą narracją, to życzylibyśmy sobie, żeby polscy historycy równie ostrożnie korzystali z terminu „okupacja”. Można mówić o litewskim okresie, o okresie litewskich rządów – da się znaleźć bardziej neutralne słowa. Musimy zrozumieć, że bardzo złożonej sytuacji nie da się opisać prostymi słowami.

Słyszałam dyskusję, w której porównywano zajęcie przez Rosję Krymu do tego, co zrobiła Polska na początku XX wieku.

– Głupie porównanie. Na początku XX wieku, kiedy rozpadły się imperia i państwa narodowe musiały na nowo ustalić swoje granice, nie było jeszcze



regulacji międzynarodowych i umowy z konferencji w Helsinkach o nienaruszalności granic po II wojnie światowej. Okupacja Krymu nie tylko jest rosyjską zbrodnią, ale jest też problemem dla historyków. Dotychczas mogliśmy swobodnie dyskutować o wydarzeniach sprzed lat, wiedząc, że terytorialne rozszczenia naszych państw są historią, która się nie powtórzy. Ale okupacja Krymu pokazała, że stu procent pewności nie ma. Kilku polityków już mi zwróciło uwagę, że może powinienem zmienić tytuł jesiennej konferencji na bardziej ostrożny.

Żeby nie wskrzesić myśli, że Wilno może nie być raz na zawsze litewskie?

– Wie pani, dlaczego Litwini tak sprzeciwiali się pisowni polskich nazwisk w dokumentach litewskich Polaków? Mój znajomy, profesor filozofii, zaledwie pięć lat temu tłumaczył mi, że byłby to pierwszy krok do polonizacji Wilna: „Najpierw poproszą o nazwiska, potem będą żądać całego Wilna”. Miałem wrażenie, że rozmawiam z wariatem, tyle że niestety podobne wywody słyszałem od niejednego Litwina. Widocznie dla części społeczeństwa żywe są dawne stereotypy, które w moim środowisku są już dziś czymś niedorzecznym. Ale bywa też odwrotnie. W 2017 roku Instytut Historii Litwy we współpracy z Instytutem Pamięci Narodowej i Instytutem Polskim w Wilnie zorganizowały konferencję pod tytułem „Bez emocji. Polsko-litewski dialog o Józefie Piłsudskim”. Zastanawialiśmy się przed nią, jaki cel chcemy nią osiągnąć. I stwierdziliśmy, że byłoby fajnie, gdyby Litwini przestali porównywać Piłsudskiego z Hitlerem i Stalinem, choć szanse na to są niewielkie. Spór o Wilno był kluczowy w relacjach polsko-litewskich, a Piłsudski był uważany przez Litwinów za największego złodzieja, bo zabrał Wilno.

Niejako na próbę generalną przed konferencją zaprosiliśmy do Wilna Adama Michnika z referatem o tym, co Piłsudski znaczy dla Polaków. Ministerstwo spraw wewnętrznych ostrzegало, że mogą się odbywać pikety litewskich nacjonalistów, miałem telefon z samorządu miasta, żeby zwiększyć ilość policji, bo to miał być pierwszy publiczny wykład na temat Piłsudskiego po II wojnie światowej.

I co?

– Nic. Żadnych demonstracji. Sala na sto osób była przepelniona. Nawet prokurator generalny nie znalazł miejsca i musiał stać. Na wykład przyszli politycy. Dostrzegłem nie wrogość, ale zainteresowanie postacią Piłsudskiego. Okazało się, że

niektóre stereotypy nie mają już tak negatywnego wpływu na społeczeństwo, jak nam, historykom, się wydawało.

Co pan poczuł, kiedy w 2013 roku polscy kibice wywiesili na trybunach transparent: „Litewski chamie, klękaj przed polskim panem”?

– Gdyby to wydarzyło się w połowie tych lat 90., kiedy relacje polsko-litewskie były napięte, zostałyby to w Litwie odebrane jako potwierdzenie tych wszystkich antypolskich stereotypów: Polacy się wywyższają i cały czas myślą o przyłączeniu Wileńszczyzny do Polski. Czyli jacy byli, tacy i zostali. Ale dziesięć lat temu stosunki między naszymi krajami były już na zupełnie innym poziomie. Być może niektórzy Litwini załapali analogie historyczne, ale większość spojrzęła na to pewnie jak na niezbyt kulturalny wybryk kibiców. Podobnie jak fani naszego klubu Žalgiris skandowali w Berlinie: „Powtórzmy bitwę pod Grunwaldem”. Niemcy pewnie nie zrozumieli, co nasi mają na myśli. Z drugiej strony, trzeba docenić pomysłowość kibiców, że mimo upływu lat ciągle to hasło pamiętamy.

A jak pan patrzy na litewskich Polaków?

– Jak historyk. Niemiecki podróżnik, wjechawszy na historyczne ziemie litewskie, napisał jakoś tak: „Ludzie mówią tu w dwóch lub trzech językach. Jeśli mówisz tylko w jednym, jesteś uważany za idiotę”. Litwa nigdy nie była krajem monoetnicznym, wyróżniała się nawet na tle Korony. Ale miejscowymi Polakami zainteresowałem się dość późno. W 2000 roku w wileńskim ratuszu spotkało się troje noblistów: Czesław Miłosz, Wisława Szymborska i Günter Grass. W swoim referacie Miłosz przyznał, że o tym, że w Wilnie istniała ważna i słynna kultura żydowska, dowiedział się dopiero, gdy już zamieszkał w Stanach Zjednoczonych. Nie chcę się porównywać do Miłosza, ale ja miałem podobnie, jeśli chodzi o miejscowych Polaków. W czasach sowieckich wszyscy żyliśmy w gettach. Litwini trzymali z Litwinami, Rosjanie z Rosjanami, a Polacy z Polakami. Kontaktów było niewiele. Dopiero gdy w roku 1990 Polacy zaczęli się domagać autonomii, większość Litwinów mieszkających poza Wilnem dowiedziała się, że w Litwie są jacyś Polacy. Pamiętajmy, że Litwini czuli się narodem uciskany, a każdy naród uciskany jest egoistyczny i myśli tylko o swoich prawach. Kiedy w Litwie, jeszcze zanim wyszła ze Związku Radzieckiego, wprowadzono język litewski jako państwowy, miejscowi Polacy interpretowali to jako gest skierowany przeciwko nim.

Tak nie było?

– Litwini walczyli wyłącznie o swój język, który przez lata był dyskryminowany przez język rosyjski. Polacy z kolei czuli się uciskani przede wszystkim przez Litwinów. Mniejszości narodowe mają to do siebie, że boją się wielkich przemian, myśląc, że po zmianach będzie im jeszcze gorzej. Na przykład w czasach „Solidarności” duża część mniejszości białoruskiej w Polsce była prorządowa, bo bała się o swoje prawa. A gdybym miał określić swój początkowy stosunek do mieszkających w Litwie Polaków, powiedziałbym, że mi nie przeszkadzali, ale też nie wydawali się jakkolwiek ciekawi.

Aż...?

– Aż zrozumiałem, że niespełnione żądania mniejszości polskiej są największym problemem w stosunkach polsko-litewskich. Jeśli sytuacja ma się poprawić, musimy poznać i wysłuchać miejscowych Polaków. Gdy zacząłem z nimi rozmawiać, okazało się, że ich żądania w większości są bardzo logiczne, jak na przykład możliwość zapisania nazwiska w taki sam sposób, jak mieli w dokumentach rodzice czy dziadkowie. Uzasadniona też była krytyka reformy szkolnictwa, która stawiała polskie dzieci w bardzo niekorzystnej sytuacji w porównaniu z dziećmi litewskimi. Skarzyli się też na problemy ze zwrotem ziemi przodków.

Jeśli chodzi o poprawę relacji polsko-litewskich, mówi się, że jest pan szarą eminencją.

– Z 20 lat temu Zbigniew Siemienowicz, dziś dyrektor szpitala w Solecznikach, powiedział mi, że trzeba coś zrobić, by poprawić relacje między naszymi państwami, ale „ja jako Polak nie mogę, a ty jako Litwin nie umiesz”. Pomyślałem, że może i nie umiem, ale spróbuję. Miałem kolegów intelektualistów, którym zależało na zmianie.

Założyliście Forum Dialogu i Współpracy im. Jerzego Giedroycia.

– Giedroyc bardzo nam pomógł w rozmowach z politykami. Wcześniej w Litwie był mało znany. Przytaczaliśmy jego teksty, w których pisał, że gwarantem funkcjonowania niezależnego, silnego państwa polskiego jest istnienie niepodległych państw: Ukrainy, Litwy i Białorusi. To klucz do bezpieczeństwa w tym regionie. A żeby pokazać, że Giedroyc nie był polskim imperialistą – choć z litewskimi korzeniami – zawsze podkreślałem jego słowa, że Polacy powinni zapomnieć o swoich roszczeniach do Lwowa, Wilna i Grodna.

Nawiązaliśmy ścisłą współpracę z Centrum im. Profesora Bronisława Geremka w Warszawie. Zaczęliśmy pracować z dziennikarzami litewskimi, których kilka razy przywieźliśmy na spotkania do Polski. Kiedy Orlen kupił rafinerię w Możejkach, mówiliśmy naszym politykom: „Polacy w stosunku z Litwą zainwestowali miliardy, a my nie chcemy iść na ustępstwa w sprawie kilku symbolicznych liter w dokumentach, co nas nic nie kosztuje”.

W ubiegłym roku to się zmieniło. Po 30 latach sporów Litwa zgodziła się na tych kilka dodatkowych liter, których domagali się miejscowi Polacy. Czuje pan satysfakcję?

– Jeśli cokolwiek się udało, to poniekąd dlatego, że mieliśmy dobrych przyjaciół w Polsce i że ze sobą gadaliśmy. Bardzo dużo wniosły też lata prezydentury Valdasas Adamkusa. On w tej sprawie zrobił więcej niż którykolwiek inny prezydent.

Czemu mu na tym zależało?

– Adamkus, wychowany w Stanach Zjednoczonych, przyniósł do Litwy zupełnie inną kulturę, którą można nazwać kulturą dyskusji i tolerancji. Miał podejście, że jeśli z kimś się nie zgadzasz, musisz zacząć z nim rozmawiać. Na przykład jeśli obrażał się na dziennikarzy za jakiś materiał, to potem starał się tych autorów jak najszybciej do siebie zaprosić i z nimi o tym dyskutować. Czasem po takich spotkaniach dziennikarze zmieniali zdanie, a czasem on. Wywodzi się z liberalnej części emigracji litewskiej – tej, która miała kontakty z paryską „Kulturą”. Był wolny od antypolskich stereotypów, ale też patrzył na relacje z Polską bardzo praktycznie. Litwa wzięta osobno niewiele znaczy. Jeśli chce coś osiągnąć, musi działać z Polską. Bardzo dużo wniosły też jego dobre relacje z Lechem Kaczyńskim. Adamkus często opowiada, jak Kaczyński dzwonił do niego na przykład w piątek po południu i pytał: „A co ty na to, jeśli ja dziś do ciebie przylecę?”. Przylatywał i rozmawiali, choć często to nie były sprawy, których nie dało się załatwić przez telefon. To były złote lata relacji polsko-litewskich.

A współcześnie?

– Polska jest ważnym partnerem Litwy pomimo dziwnych rzeczy, które się dzieją w polskiej polityce. W nieoficjalnych rozmowach politycy litewscy wykorzystują sytuację w Polsce jako strasak na politycznych oponentów: „Jeżeli zrobimy to czy tamto, skończymy tak jak Polska”. Takich rządów nikt w Litwie by nie chciał. Najbardziej boimy się, że Polska zacznie się jeszcze bardziej konfliktować z Unią Europejską. W odróżnieniu od Polski, w Litwie poziom euroceptycyzmu jest bardzo niski, a w elitach politycznych praktycznie zero. Jednak proszę zauważyć, że litewscy politycy publicznie Polski nigdy nie krytykują.

Jak wojna w Ukrainie wpłynęła na relacje polsko-litewskie?

– Tylko utwierdziła nas w przekonaniu, że z Polską musimy działać razem. Wspólna historia zaczyna budzić pozytywne emocje, i takie uczucia Litwinów można i trzeba wykorzystywać dla naszej wspólnej przyszłości, budując region ULB, jak Giedroyc nazywał Ukrainę, Litwę i Białoruś.

Jest pan uważany za jednego z czołowych polonistów litewskich.

– Ja chyba nadal jestem litewskim nacjonalistą.

No proszę. Wyszło szydło z worka.

– Nacjonalistą w tym samym sensie co Adamkus: jeśli Litwa ma coś znaczyć, to nie ma wyjścia, musi się dogadywać z Polską. A litewskich Polaków trzeba traktować jak normalnych obywateli Litwy, często obywateli lepszej jakości. Litewskiemu Polakowi można zaufać – ten cię nie oszuka. ●

• **Generał Lucjan Żeligowski i komendant miasta major Stanisław Bobiatiński po wkroczeniu wojsk polskich do Wilna. 1920 r.**

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Pierwsze wakacje w strefie euro

MOJA DROGA

Chorwacja

Turyści przyjeżdżają i narzekają: „Boże, jaka tu droga kawa!”.

Nie wiedzą, ile tych kaw muszą Chorwaci sprzedać, żeby opłacić rachunki i jeszcze zarobić

– Jest takie chorwackie powiedzenie: „kako ti se čini, tako je”, czyli jak ci się wydaje, tak jest. Chodzi o to, że każdy ma swoją perspektywę i swoją prawdę. Jeśli ktoś uważa, że jest drożej, ponieważ 1 stycznia wprowadzono euro, to nie udowodnisz mu, że jest inaczej.

Paulina Kovačević z Dubrownika, przewodniczka turystyczna, tłumaczka i współwłaścicielka firmy organizującej ślub, zrobiła nawet pewien eksperyment, którego rezultaty opublikowała na swoim profilu w mediach społecznościowych. Ostatniego dnia grudnia poszła do Tommy'ego, jednej z najpopularniejszych sieci sklepów spożywczych w Dalmacji, i nakręciła filmik z cenami dziesięciu wybranych produktów, za które płacono jeszcze w kunach. W styczniu nakręciła kolejny z tymi samymi produktami już w euro. Podrożały jedynie jabłka.

– Kawa w jednej kawiarni jest droższa niż wcześniej – przyznaje – ale w drugiej tańsza. Wszystko zależy od tego, w którym to jest miejscu.

A kawa w centrum Dubrownika uchodzi za najdroższą w Chorwacji. W sezonie płacono się za nią tyle co za kawę na lotnisku w Zagrzebiu, czyli około 3,5 euro. Dla porównania: kawa w centrum stolicy kosztuje mniej więcej 1,9 euro. Oczywiście i tu wszystko zależy od kawiarni, którą wybierzemy. Może być drożej.

Wzmianka o kawie to nie przypadek. Przy okazji wprowadzenia euro bardzo dużo mówiło się w Chorwacji o rosnących cenach w kawiarniach, pubach i restauracjach. To ten słynny „efekt cappuccino”, o którym trąbiły media. A kawa to treść życia Chorwatów. Nie tylko zresztą Chorwatów. Kawiarnie na całych Bałkanach wypełnione są po brzegi. I to od rana do wieczora. Turyści często więc wyjeżdżają z przekonaniem, że mieszkańcy regionu nie pracują, tylko piją kawę. Ale bez obaw – pracują.

Miłość Chorwatów do kawy Paulina podsumowuje krótko: – Tutaj ludzie kupią gorszy samochód, ale dobra kawa musi być.

Ceny kawy w Dubrowniku tłumaczy zaś kosztami utrzymania lokalu i życia w mieście: – Turyści przyjeżdżają i narzekają: „Boże, jaka tu droga kawa!”. Ale tu całe życie jest drogie. Trzeba dużo zarobić, żeby żyć skromnie. Nikt sobie nie zdaje sprawy, dlaczego ta kawa jest taka droga. Ile oni muszą tych kaw sprzedać, żeby opłacić rachunki i jeszcze zarobić. To nie jest jakaś chorwacka chciwość, tylko realia drogiego rynku pracy.

MYŚLISZ O SURVIVALU? ZAPRASZAMY DO CHORWACJI

Paulina od dwudziestu lat mieszka w Dubrowniku. Przyjechała z powodu faceta. To było takie typowe love story. Poznali się za granicą, gdzie razem pracowali, zakochali się w sobie, powiedział „przyjeźdź”, więc przyjechała. Z wykształcenia jest muzykiem. W Chorwacji długo walczyła o to, by wykonywać swój wyuczony zawód. Na początku pracowała w szkole muzycznej jako akompaniatorka, ale zamknięte środowisko niewielkiego Dubrownika

sprawiło, że przegrała walkę o pracę w zawodzie. Była coraz bardziej sfrustrowana, bo cały czas pracowała na godziny, a miała już małe dziecko. Opiekunka kosztowała ją więcej, niż ta zarabiała. Odżyła, gdy postanowiła zrobić licencję na przewodnika lokalnego. Dziś to jeden z głównych wykonywanych przez nią zawodów. I wielka pasja, co widać, gdy o nim opowiada.

Według Pauliny kłopoty ze znalezieniem pracy wynikają ze słabo rozwiniętego rynku. – Chorwacja to przecież tak naprawdę dwie Warszawy, jeśli chodzi o liczbę ludności – mówi. Ale te kłopoty polegają także na czymś innym. Na roli, jaką odgrywają tu znajomości. To te słynne „trebaš imati veze” (musisz

mieć znajomości) powtarzane we wszystkich dialektach języka chorwackiego.

– W Chorwacji wszyscy się znają i te znajomości są wykorzystywane. Poza tym papierologia, luki w prawie, które pozwalają zwyktemu urzędnikowi mieć dużą władzę. Prawo jest nieprecyzyjne, więc on może powiedzieć, że „ja panu prądu nie podłączę lub nie otworzę firmy, bo brakuje jeszcze jednego dokumentu”. I nikt ci nie powie, jak go zdobyć.

Na rolę znajomości zwraca uwagę także Julia, absolwentka polonistyki. Przyjechała do Chorwacji po raz pierwszy jedenaście lat temu w ramach Erasmus. Na rok. Potem wróciła na chwilę do Polski i znowu pojechała do Zagrzebia, bo znalazła pracę

PATRYCJA
CHAJĘCKA



w międzynarodowej korporacji. Przepracowała dwa lata. Dziś mieszka pod Zagrzebiem, ale coraz intensywniej myśli o powrocie do Polski, bo w Chorwacji trudno jej znaleźć dobrą pracę. Taką, która zapewniłaby stałe, przyzwoite dochody i jeszcze dawała satysfakcję. Próbowala w ambasadzie, na uczelni i w turystyce. Zrobiła licencję na przewodnika po Zagrzebiu, ale tu miała pecha. Pandemia pokrzyżowała jej plany.

– W pewnym momencie zadajesz sobie pytanie: co mnie tu trzyma? Oprócz związku, rzecz jasna. Chociaż to nie jest tak, że nie mam środków do życia – pracuję w polskiej szkole, uczę tam języka polskiego.

Szkola działa przy Ambasadzie RP w Zagrzebiu od 2005 roku. Lekcje prowadzone są w soboty od ósmej do szesnastej. Dla dziecka to dodatkowy dzień nauki. Więc nie wszyscy rodzice, a mówimy przede wszystkim o małżeństwach mieszanych, chcą posyłać do niej swoje potomstwo. Druga taka szkoła działa w Splicie. Według spisu ludności z 2021 roku w Chorwacji mieszka 657 osób polskiego pochodzenia. Głównie są to kobiety, które przyjechały tu z powodu partnera (tzw. emigracja serc) lub do pracy, a potem zostały, bo im się spodobało lub kogoś poznały.

– Większość tutejszych Polaków to kobiety w średnim czy starszym wieku. Przyjechały dwadzieścia lat temu lub wcześniej, wyszły za mąż, ich mężowie mieli już bardzo dobrą pozycję społeczną i na pewno na start było im nieco łatwiej – komentuje Julia.

I dodaje: – Chorwacja nie jest miejscem dla osób młodych, które dopiero zaczynają karierę. W ogóle nie jest krajem przygotowanym na obcokrajowców. Oprócz turystów i ludzi typu digital nomads, którzy w hamaku nad morzem robią swoje targety i tickety. Do Chorwacji nie przyjeżdżasz na zarobek, tak jak do Irlandii czy Niemiec. Tu trzeba wiedzieć, jak przeżyć. Jeśli myślisz o survivalu, zapraszamy do Chorwacji.

Dlatego też wielu młodych Chorwatów ucieka z kraju. Szukają lepszych zarobków w Niemczech, Irlandii, Austrii lub Szwajcarii.

– Uciekają nie tylko z powodu niskich pensji, ale i dlatego, że pracodawcy ich wykorzystują. Szukają luk w prawie, żeby tylko zarobić kosztem pracownika. I znajdują, bo prawo jest u nas niedoprecyzo-

wane – mówi Petar, trzydziestokilkuletek zajmujący się obsługą klienta w niewielkiej firmie. I dodaje:

– W Chorwacji trudno znaleźć pracę, która dawałaby ci coś więcej poza zaspokojeniem podstawowych potrzeb. A i z tym bywa różnie. Chyba że pracujesz w branży IT. Przy czym i tutaj pensje są nieporównywalne z zachodnimi, bo dwa razy niższe. A ceny żywności na ogół są już zbliżone.

Petar zna jednak osoby, które wracają. – Mam kilku znajomych, którzy po roku, dwóch wrócili z Niemiec lub Irlandii. Gdy pytam dlaczego, odpowiadają, że brakowało im przyjaciół, rodziny i że nikt normalny z innego powodu nie wróci. Chyba że już zarobił tyle, by zainwestować w ziemię lub dom nad morzem. Dom oczywiście na wynajem. Mówią mi też, że w Chorwacji system szkolnictwa i służba zdrowia są na lepszym poziomie niż na przykład w Irlandii. I ludzie są bardziej otwarci niż w Niemczech.

GDY WYPŁATĘ W EURO ZOBACZYSZ

– Polakom wydaje się, że Chorwacja to raj na ziemi. Chorwacja jest cudowna na wakacje, piękna na emeryturę – jeśli masz niemiecką, rzecz jasna. Gdy na konto wpływa ci miesięcznie 3 lub 4 tysiące euro, wtedy faktycznie możesz żyć. Lub gdy masz jakiś dochód pasywny – zauważa Paulina.

Dodaje, że wprowadzenie euro pokazało Chorwatom, jak mało zarabiają w porównaniu z zachodnimi państwami. – Gdy wpłynęła na konto pierwsza wypłata w euro, dopiero się okazało, jakie to są marne pieniądze. I nie chodzi o to, że wcześniej nikt tego nie wiedział. Teraz po prostu nie trzeba już niczego przeliczać. Wszystko widać czarno na białym.

Według Państwowego Urzędu Statystycznego mediana zarobków w grudniu 2022 roku wynosiła w Chorwacji 6608 kun, czyli 877 euro netto. Oznacza to, że połowa osób zarabiała mniej od tej kwoty, a połowa więcej. Minimalne wynagrodzenie w 2022 roku wynosiło zaś 3750 kun, czyli 498 euro netto. Od 2023 roku jest wyższe i sięga 560 euro. Wzrosła także mediana płac – w styczniu wynosiła 930 euro, a w lutym nieco mniej, bo 917 euro netto.

Tyle mówią statystyki. – Ale z tego, co widzę i słyszę, ludzie zarabiają około 800 euro – mówi Julia.

– I to przy dobrych wiatrach. Żeby przeżyć na wsi pod Zagrzebiem, wystarczy bez problemu. Choć zależy, jakie masz oczekiwania od życia. Na jedzenie wydaje się najwięcej, myślę, że 400 euro dla dwóch osób. Powiedzmy, dwa, trzy razy wyjdiesz wtedy na obiad na miasto.

Paulina: – Na siebie i dwoje dzieci wydaję miesięcznie w Dubrowniku 1600 euro. Nie wliczam tu kredytu, który spłacam za mieszkanie. 1600 euro to jest takie minimum. Bez żadnych szaleństw, chodzenia po restauracjach. Moje dzieci też nie mają tutaj jakichś superzajęć pozaszkolnych, prywatnych szkół, ale jak chcą na siłownię, to idą. Córka – na angielski lub basen. Około 650 euro miesięcznie trzeba wydać w Dubrowniku na wynajem dwupokojowego mieszkania, takiego w miarę normalnego. Poniżej są garaże dla Bośniaków czy Albańczyków, którzy przyjeżdżają tu do pracy i jest im wszystko jedno, gdzie będą mieszkać. Byle był materac do spania. Wynajmuje się wszystko. 300 euro miesięcznie człowiek płaci za norę.

Sanja, czterdziestoletnia właścicielka firmy: – Na trzyosobową rodzinę w Zagrzebiu potrzeba minimum 1400 euro. Wynajem mieszkania kosztuje od 600 euro, jeśli chodzi o jedzenie, jak się postarasz, możesz się zmieścić w 500-600 euro. Oplaty to 200 euro. Ale nie wliczam tu żadnych dodatkowych wydatków – zajęć pozaszkolnych, wyjść na kawę czy do knajpy, zakupów ciuchowych. Jak ktoś spłaca kredyt, to miesięczna rata wynosi od 700 do 1000 euro. My na razie wynajmujemy.

Petar, z działu obsługi klienta: – Zarabiam miesięcznie 1000 euro. Około 400 wydaję na wynajem małej kawalerki poza centrum Zagrzebia. Tyle samo idzie na jedzenie, choć jem w domu. Na chodzenie po knajpach nie ma szans przy takich zarobkach. Ceny u nas są jak w Niemczech. Tylko tam ludzie zarabiają trzy, cztery razy więcej. Zostaje mi jeszcze coś na drobne wydatki typu kawa czy papierosy. A znalezienie kawalerki za 400 euro to duży sukces. Trzeba mieć szczęście i nie wymagać za dużo. Poza tym jeżdżę rowerem, więc odchodzą mi wydatki na bilet. Ale przy mojej pensji modlisz się, żeby nic ci nie wyskoczyło niespodziewanego, np. dentysta, bo skąd na niego weźmiesz tak od razu. Chciałbym zarabiać jakieś 1500 euro, żeby nie musiał się martwić o każdy cent.

Luka, sprzedawca biletów na dworcu autobusowym: – Kilka miesięcy temu straciłem pracę, musiałem znaleźć cokolwiek, żeby mieć jakiś dochód. Zarabiam pensję minimalną – 560 euro. Dodatkowo dostaję jeszcze do ręki 90 euro. To u nas częsta praktyka. Pracodawcy się oplaca, tobie krótkoterminowo też, ale gdy patrzysz z perspektywy emerytury, przestaje. Na szczęście mam kawalerkę po rodzicach, ale i tak za takie pieniądze ledwo mogę przeżyć. Po odliczeniu opłat zostaje mi jakieś 400 euro. Wszystkie potrzeby ograniczam więc do minimum. I codziennie szukam nowej pracy. Wcześniej też nie zarabiałem dużo, zawsze w granicach 850-900 euro.

OCZY SKIEROWANE NA CENY

– Według statystyk ceny żywności w Chorwacji są bodajże o 1 proc. wyższe niż średnia europejska. Jest drogo, ale Chorwacja zawsze była droga. To ten absurd, że jesteśmy jednym z najmniej zarabiających państw w Unii Europejskiej, a dużo płacimy za podstawowe produkty. Często jeżdżę do Wiednia i tam w hipermarkecie kajzerka lub jogurt są tańsze niż w Zagrzebiu – zauważa Sanja.

I dodaje: – Dziennikarze po wprowadzeniu euro zaczęli pisać o tym, jak strasznie jest drogo. Że Chorwaci jeżdżą do Słowenii, by tam robić zakupy. Ale przecież jeździli też, zanim weszło euro, bo w Słowenii od dawna bardziej się oplacało kupić niektóre produkty, choćby karmę dla psa lub kota.

Ceny żywności i napojów bezalkoholowych wzrosły w Chorwacji w styczniu o 12,7 proc., licząc rok do roku, wynika z danych Państwowego Urzędu Statystycznego. W odniesieniu do grudnia 2022 pozostały zaś na tym samym poziomie. W lutym wzrosły o 15 proc. rok do roku, w marcu – o 17,4 proc.

W Lidlu w Zagrzebiu w drugiej połowie kwietnia za kilogram schabu bez kości trzeba było zapłacić ok. 5,5 euro, za całego kurczaka – ok. 3 euro, za kilogram mięsa mielonego – ok. 5 euro, za kajzerkę – 0,17 euro, za 10 jajek – 2,65 euro, za margarynę – 0,7 euro, za kilogram mąki pszennej – 0,72 euro, litr wody niegazowanej – 0,86 euro, kawę 500 g – ok. 5 euro, papier toaletowy 10 rolek – ok. 4 euro, kilogram jabłek – ok. 1,5 euro, litr mleka 3,2 proc. – ok. 1,3 euro, kilogram sera gouda – 8 euro, 500 g makaronu – ok. 1,5 euro, masło 250 g – 2,65 euro, kilogram

• Wybrzeże
Adriatyku
w Chorwacji,
miasto P
ri
mošten

FOT. SHUTTERSTOCK

ziemniaków – 1 euro, kilogram papryki czerwonej – 4,49 euro, kilogram cukru – 1,33 euro.

Chorwacki Bank Narodowy zwrócił uwagę, że wzrost cen żywności spowodowany inflacją jest w Chorwacji wyższy niż średnia w Unii Europejskiej. Podobnie zresztą jak w Polsce, Czechach, na Węgrzech czy w bijących pod tym względem rekordy państwach nadbałtyckich.

Inflacja w 2022 roku w Chorwacji wyniosła według Państwowego Urzędu Statystycznego 10,8 proc. Rekordowy poziom osiągnęła w listopadzie – 13,5 proc. Od tego czasu stopniowo maleje. W marcu wyniosła 10,7 proc. To więcej niż średnio w Unii (gdzie w marcu wyniosła 8,3 proc.), ale mniej niż w Polsce (w marcu – 16,1 proc.). A to Chorwacją na początku roku straszyl Polaków premier Mateusz Morawiecki. Miała się stać dowodem na to, dlaczego nie warto wprowadzać euro w naszym kraju.

HORRENDALNE KARY

– W krajach, w których wprowadzono do tej pory euro, odbiór społeczny był właśnie taki, że wszystkie ceny ogromnie podskoczyły. Nawet do 30 proc. Natomiast po analizach rynku okazywało się, że wzrost nie przekracza 0,2-0,5 proc. w ciągu roku. Jeśli ktoś chce wierzyć, że to euro spowodowało drożyznę, to będzie w to wierzyć. Prawda jest taka, że drożyznę spowodowały już dawno odbijanie się gospodarki po pandemii, wojna, która pociągnęła olbrzymie wzrosty cen energii, a potem podwyżki cen innych produktów. To było widoczne już półtora roku temu – mówi Paulina.

– Wszystko podróżowało, i to drastycznie. Ale zaczęło drożeć, zanim jeszcze wprowadzono euro – potwierdza Julia.

Podobnego zdania jest Sanja: – Ceny wzrosły, ale nie powiedziałabym, żeby to przejście na euro było przyczyną. Na początku roku była fala różnych inspekcji. Przede wszystkim w obiektach usługowych. Jeśli ktoś zmienił cenę, to znaczy wyrównał w górę, a nie w dół, i nie miał racjonalnego uzasadnienia, płacił horrendalne kary. Cena kawy w kawiarniach trochę jednak skoczyła. To zauważyłam.

Rząd chorwacki najpierw straszyl czarnymi listami. Mieli się na nich pojawić nieuczciwi przedsiębiorcy, którzy postanowili wykorzystać przejście na nową walutę do nieuzasadnionych podwyżek. Potem zabrał się do kontroli i wlepiania kar. Kara dla przedsiębiorcy zaczynała się od 26 tys. euro, a dla indywidualnego sprzedawcy – od 1090 euro. Następnie zaś wziął się do tworzenia stron internetowych. W połowie lutego 2023 ministerstwo gospodarki i zrównoważonego rozwoju uruchomiło stronę „Ruch cen” (Kretanje cijena, <https://kretanje-cijena.hr/>). Można na niej sprawdzić ceny około 350 produktów w trzech sieciach sklepów (Tommy, Konzum plus, KTC), bo tylko tyle zdecydowało się wysłać instytucji odpowiednie informacje.

We wrześniu 2022 roku z powodu inflacji rząd zamroził ceny dziewięciu podstawowych produktów spożywczych, wśród których znalazły się olej, mąka, cukier, mleko, wieprzowina i mielone mięso. Ograniczenie, które dotyczyło także cen energii, obowiązywało do końca marca bieżącego roku. Z początkiem kwietnia weszło nowe, tym razem obejmujące osiem produktów. Zdecydowano również, że ceny gazu zostaną utrzymane na tym samym poziomie przez kolejny rok, a ceny energii elektrycznej – przez pół.

Poza tym już we wrześniu 2022 roku wszedł w życie obowiązek podawania cen w obu walutach. Miał zapobiec nieuzasadnionym podwyżkom spowodowanym przez nadmierne zaokrąglanie ich w górę. Ma obowiązywać do końca 2023 roku. Nie dotyczy to jednak handlarzy na bazarach.

Boris Vujčić, szef Chorwackiego Banku Narodowego, oświadczył w telewizji NI, że wzrost cen w Chorwacji po wprowadzeniu euro był taki sam jak w innych krajach.

Wzrosły przede wszystkim ceny w sektorze usług, kawy czy piwa w knajpach, co też było widoczne w innych państwach. Podkreślił, że ceny 1 stycznia wzrosły, a potem stopniowo spadały. – Oznacza to, że niektórych poniosło, więc ludzie nie chcieli kupować.

Potwierdzają to analizy ekspertów z Chorwackiego Banku Narodowego i Europejskiego Banku Centralnego: wpływ wprowadzenia euro na ceny w styczniu i w lutym był stosunkowo łagodny i wyniósł 0,4 proc.

– Ale ludzie te podwyżki, które już trwają od półtora roku, i tak zwalają na euro, bo tak jest najłatwiej – stwierdza Paulina.

WSZYSCY CHCĄ DO CHORWACJI

– Nasze wybrzeże pod względem turystycznym jest drogie. Tylko to jest kwestia nie tego czy poprzedniego lata, ale ostatnich siedmiu lub dziesięciu. Nad morzem za każdą dziurę zapłacisz majątek tylko dlatego, że mogą tyle za nią policzyć. A mogą, bo wszyscy chcą do Chorwacji – mówi Sanja.

Turystyka daje 25 proc. w PKB Chorwacji. Nic więc dziwnego, że wśród plusów wprowadzenia euro – oprócz zagranicznych inwestycji – wymienia się jej rozwój i patrzy z nadzieją na tegoroczny sezon. Poprzedni był bardzo udany. Dzięki zagranicznym turystom Chorwacja zarobiła w 2022 roku rekordowe 13,1 mld euro. O 2,5 mld euro więcej niż w przedpandemicznym 2019 roku.

Sezon rozkręca się w okolicach Świąt Wielkanocnych i trwa do początku października. Ale turyści coraz częściej przyjeżdżają także poza nim, by uniknąć tłumów i wysokich cen. Kristina Mamić z Chorwackiej Wspólnoty Turystycznej uważa, że początek tegorocznego sezonu zaczął się dobrze. W okresie wielkanocnym spodziewano się ponad 550 tys. noclegów, czyli około 5-8 proc. więcej niż w zeszłym roku. Większość rezerwacji zrobili tradycyjnie Niemcy, Austriacy, Słowacy i Włosi.

W zeszłym roku do Chorwacji przyjechało też ponad milion Polaków. Był to siódmy najchętniej wybierany przez Polaków kierunek wakacyjny. Po wprowadzeniu euro wiele osób zaczęło intensywnie kalkulować, ile będą kosztować tegoroczne wakacje nad Adriatykiem. Na facebookowej grupie „Polacy w Chorwacji”, która zrzesza przede wszystkim miłośników wakacji w tym kraju, pojawiała się już w styczniu sporo komentarzy typu: „Mają euro, więc kiepsko będzie”. Teraz pojawiają się głównie ogłoszenia osób poszukujących noclegu i zdjęcia menu z restauracji lub kawiarni. Nie brakuje też komentarzy, że wciąż jest taniej niż nad polskim morzem.

Euro było obecne w Chorwacji już długo przed tym, gdy stało się oficjalną walutą. O cenach większych zakupów, takich jak samochody i nieruchomości, mówiło się w euro. – Nad morzem w wielu miejscach mogłaś płacić w euro, bo nie wszyscy wydawali rachunki fiskalne – komentuje Sanja.

A Paulina dodaje: – Jak nie przyjąć euro, gdy wychodzi ci turysta ze statku, który wczoraj był w Wenecji, dziś dopłynął do Dubrownika, a jutro będzie w Turcji?

– Chorwacja zawsze była elitarnym kierunkiem turystycznym. Już za czasów Jugosławii. Dla przeciętnego mieszkańca kraju, który nie miał nad morzem babci i dziadka, wyjazd nie był tani – stwierdza Marko, który od kilku lat w czasie sezonu pomaga rodzicom wynajmować apartamenty. – Dziś chorwackie wybrzeże przyciąga gwiazdy z całego świata. A potem spece od promocji turystyki to wykorzystują. Chorwacja bardzo promuje się w Niemczech i Austrii. Dla nich Chorwacja wciąż jest w miarę tania, a to, że wprowadziliśmy euro i weszliśmy do strefy Schengen, to tylko ułatwienie. Zresztą jeśli kogoś było stać na wakacje w zeszłym roku, będzie i w tym, bo zrobi wszystko, żeby zakosztować odrobiny tego rajku. ●

DWIE NOMINACJE
DO GOODREADS CHOICE
AWARDS 2022!

Inteligentna i trzymająca w napięciu historia,
pełna zwrotów akcji, których nie da się przewidzieć
– KARIN SLAUGHTER



**BŁYSKI
W
MROKU**

Thriller

STACY WILLINGHAM

**POTWORY
NIE CZAJĄ SIĘ
W MROKU**

Prawdziwe potwory żyją
wśród nas.

Gdy Chloe Davis miała dwanaście lat, w jej rodzinnym miasteczku zaczęły znikać nastoletnie dziewczęta. Nim parne luzjańskie lato dobiegło końca, ojciec Chloe został zatrzymany w związku z zaginięciami, a ich dotąd szczęśliwa rodzina rozpadła się na drobne kawałki. Teraz, 20 lat później, Chloe pracuje jako psychoterapeutka i jest już prawie gotowa uznać, że jej życie wróciło na właściwe tory. Wystarczy jeden telefon od dziennikarza, który zadaje niewygodne pytania o przeszłość, aby koszmar ożył na nowo. Zbliża się 20 rocznica zaginięć, a Chloe będzie musiała zweryfikować, co wówczas było prawdą, a co jedynie wytworem dziecięcej wyobraźni.

„BŁYSKI W MROKU” TO NASTROJOWY
PSYCHOLOGICZNY THRILLER, PEŁEN KŁAMSTW
I RODZINNYCH SEKRETÓW

DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH ORAZ NA  KULTURALNY SKLEP.PL
W FORMIE E-BOOKA / AUDIOBOOKA NA  **publio.pl**

 **Wydawnictwo
Agora**

Noce miłości

lwasiów



**Od dwóch miesięcy jeżdżę po Polsce, rozmawiając o późnym życiu. „Późne życie” to tytuł mojej najnowszej powieści, ale rozmowy toczą się blisko powszednich doświadczeń oraz przy-
czajonego za każdym rogiem końca świata.** Dobrze się wymienia niepokojami i schematami ratunkowymi. Podróżując między miastami i gminami, doznaję kolejowych opóźnień, dworcowego chaosu, gubię wyjścia z tuneli pod remontowanymi ulicami, analizuję rozkłady jazdy komunikacji miejskiej. Google Maps mam za przewodniczkę, a natręctwa za strażniczkę. Dziesięć razy sprawdzam zawartość toreb.

Do Łodzi ze Szczecina mknę autobusem. Wsiadam do giganta o 6.30 na pustawym dworcu z nieczynną toaletą. Przewoźnik potentat. Dwóch kierowców, obaj lubiący głośną muzykę. Zajmuję miejsce w opłaconym, droższym od następnych drugim rzędzie, z nadzieją na widoki i drzemkę. Przed snem potrzebuję paru akapitów tekstu. Wciągam mocno fabułę, aż do rozmycia liter. Inaczej nie potrafię odciąć lin wiążących mnie z bieżącą. Tym razem mam w czytniku „Noce zarazy” Orhana Pamuka. Ostatnie 15 procent tekstu do przeczytania, napięcie nie może już rosnąć, prawie nikt nie żyje, odsetek ocalałych jak w „Dżumie” Alberta Camusa. Te noce zarazy to także noce miłości. Nic zaskakującego, turecki noblista nie byłby autorem tak powszechnie czytany, gdyby nie stosował sprawdzonej formuły wielkich prozaików, a brzmi ona: „o czymkolwiek byś pisał, nie zapomnij pisać o miłości”. Nie jest to cytat z żadnego teoretycznego opracowania, lecz moja krytyczna formuła. Sprawdza się, przypomnijcie sobie dowolną kanoniczną historię, by poddać ją próbie na obecność erotycznych afektów.

Radio gra, cóż, infantylną muzykę, przeplatana entuzjastycznie-sztucznie podawanymi, złymi wiadomościami.

Zastanawiam się, czy poprosić kierowcę o ściszenie odbiornika, ale nie mam odwagi. Kierowcy, jest ich dwóch, ubrani w białe koszule i niewątpliwie korporacyjnie przeszkoleni, są panami sytuacji. Przez chwilę mam ochotę ściągnąć aplikację i wystawić im oceny negatywne, ale to wymagałoby skupienia, gdy potrzebuję drzemki. Przesiadam się na koniec wozu, gdzie nadal słyszę radio. W Gorzowie wracam na swoje miejsce, bo przybywa pasażerów. I właśnie wówczas, w szczelinie między dobrze dopiętym planem a zakłóceniem – hałasem, zmianą fotela – porzucam nieświadomie mój czytnik. Jego brak stwierdzam w hotelu. Przed planowaną drzemką, bo bez kilku akapitów nawet tabletką nasenna traci moc.

Przychodzi mi do głowy proste rozwiązanie – zatelefonuję do firmy, ta nawiąże kontakt z kierowcą, który sprawdzi między siedzeniami (bo tam pewnie utknął kindle, nie w kosmicznej czarnej dziurze, w szkatulce Szeherazady), i następnego dnia udam się na przystanek po moje urządzenie. O naiwna! Nie można zatelefonować, albowiem firma, jak przystało na nowoczesne przedsięwzięcie, nie istnieje w przestrzeni rzeczywistej. Jej nieistnienie jest tak twarde, że funkcjonujące do niedawna biuro podróży, udzielające informacji analogowym klientom, zniknęło spod szczecińskiego, rozkopanego dworca. Dzwonię grzecznie na infolinię ogólną, ale tam oczywiście nie zgłosił się nikt nigdy, tylko sztucznie rozwleczony, złowieszczego głęboi głos kobieco-automatyczny prosi, by czekać. Jak na Godota lub na zmiany rządu w Rosji – fatalistycznie, z nadzieją. Udaje mi się skontaktować z mniej zapchaną centralą biura podróży, które nie ma aktualnego naziemnego adresu. Numer wyluskuję z Facebooka. Pani, chyba prawdziwa, oznajmia mi, że trasa do Łodzi wykracza poza ich kompetencje, oni są „dedykowani do Berlina”. Ponizam się trochę i desperuję, ponieważ czuję na łączu istotę ludzką. Nic z tego nie wychodzi, co w końcu do mnie dociera. Są stanowczo inaczej „dedykowani” i także nie istnieją.

Znajomi podsyłają mi linki do aplikacji, w której można opisać zdarzenie w zakładce „zagubiony bagaż”. Opisuję w zimną, formalną próżnię, bo cudem byloby odnalezienie po wielu godzinach mojego urządzenia w futerale w kwiatki, a ponadto minął tydzień

i dostałam zwrotkę automatyczną, proponującą wystawienie oceny. Wybucham we mnie solidarność gatunkowa: nie będę dawać niskich not istotom ludzkim na etacie kierowców, gdy mam przeciw sobie całe to elektroniczne zaprzeczenie bytu.

Moja zguba wpisuje się w serię strat. Poprzedni czytnik zostawiłam pod poduszką na Florydzie. Był miłym sercu prezentem, zawierał ogromną bibliotekę. Wypasiony zastępca nie miał seksapilu charakteryzującego szczere dary. Raczej solidny, funkcjonalny egzemplarz, z kilkudziesięcioma książkami w środku, w tym z niedokończonymi „Nocami zarazy”. Młody, a już poszedł w świat, wpadł w dziurę, odszedł. Można by o tym napisać powieść z wątkiem miłosnym. Postapo o bezdusznych systemach wożących nas między miastami, pozorujących znane z dawnych czasów sytuacje, bo skoro nie istnieją biura, osoby odbie-

przewodzie. Może zgubienie przenośnej biblioteczki z najnowszą prozą pisarza jest dogrywką i suplementem opowieści o przedmiotach z dawnych epok, kopistach, pasjonatach, kolekcjonerach i kochankach? Aptekarzach i sultanach, sprzedawcach jogurtu i tancerkach?

Albo wszystko to mi się śni, roi, pisze, jak felietoniście w Pamukowym „Muzeum niewinności”? Przedawkowałam jakiś specyfik, przygotowany w aptece na wyspie Minger, fikcyjnej, lecz przypominającej wiele miejsc, w których sami znajdowaliśmy się jeszcze niedawno, czując lęk przed COVID-em przenikającym ściany naszych domów.

Mój przewoźnik wraz czytnikiem istnieje wirtualnie, wysłała do realu kierowców zagłuszających radiem niepokój pasażerek i pasażerów. Raczej kiepski horror niż wielka narracja o cywilizacji. Kapitalistyczna

Pani, chyba prawdziwa, oznajmia mi, że trasa do Łodzi wykracza poza ich kompetencje, oni są „dedykowani do Berlina”. Ponizam się trochę i desperuję, ponieważ czuję na łączu istotę ludzką. Nic z tego nie wychodzi, co w końcu do mnie dociera. Są stanowczo inaczej „dedykowani” i także nie istnieją

rające telefony, magazyny zgub, to być może sama podróż z punktu Szczecin do punktu Łódź jest złudzeniem? Przecież jedna z bohaterek epizodycznych tej przygody powiedziała wyraźnie, że nie „posiada dedykacji” na ten odcinek?

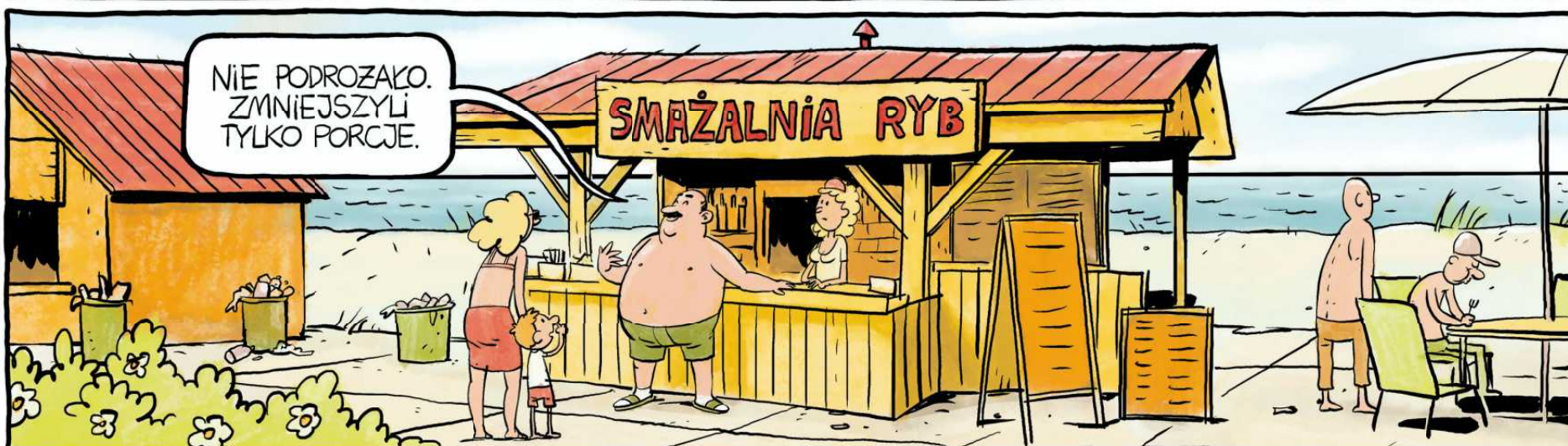
Pociechą jest mi odwieczność podobnych fabuł. Wykorzystuje je Orhan Pamuk, szacowny i poczytny noblista. Na szczęście jeden z odcinków mojej trasy wypada w Poznaniu, gdzie wręczany ma mu być doktorat honorowy Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Napisałam recenzję w tym

ekonomia, traktująca nas jak ładunek i dbająca wyłącznie o optymalizację zysku, nie zaś dworskie intrzygi i wielokulturowe tygły. Autobus wiezie mnie nie do zamglonych krain na obrzeżach, jak w „Śniegu”, innej powieści Pamuka. Nie dołączę u celu do rewolucji. Taką mamy fazę. Wciąż jednak trwa gubienie i znajdowanie, więc podpowiadam osobie, która teraz czyta „Noce zarazy” na ekranie mojego nowego, a już zbitego czytnika, że obcuje z miłością.

Inga Iwasiów

POLSKA MISTRZEM POLSKI

TOMASZ LEŚNIAK &
RAFAŁ SKARŻYCKI



jolekka

58

Objaśnienia podane są w kolejności alfabetycznej. W diagramie ujawniono wszystkie litery Y. Miejsce wpisywania wyrazów – do odgadnięcia. Litery w kolorowych polach, odczytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

- azjatyckie ssaki z rodziny koniowatych, spokrewnione z kulaniem
- beskidzkie miasto sąsiadujące z Wisłą
- bogacz z powieści Kennetha Grahama'a „O czym szumią wierzby”
- cukierki takie jak krówki; mordoklejki
- da kromeczce popalić!
- ... Danielak, filmowy wodzirej
- dla cessen (oby nie za ciasny)
- dział w ministerstwie
- dżokej powie o nim: klus+
- elektroda tranzystora
- ... Ellington, legenda jazzu
- ... Fallon, amerykański komik i prezenter telewizyjny
- Fisz ... Tworzywo, projekt muzyczny braci Waglewskich
- formuła przyrzeczenia, przysięgi
- Frida, meksykańska malarka
- „... fryzjera damskiego”, powieść Eduarda Mendozy
- „... i krzyki”, film Ingmara Bergmana
- imię bezwzględniego biznesmena z filmu „Dług” (rola Andrzeja Chyry)
- J. ... Hoover, szef FBI w latach 1924-72
- Jacek, ten trzeci z Ich Troje
- Johnny z piosenki zespołu Universe
- ... kadrowe w firmie (zwolnienia, odejścia, przeniesienia, przyjęcia)
- komputer, z którym Garri Kasparow toczył szachowe pojedynki
- księga wywołanych
- ma swoje stoisko na targach
- miasto kojarzące się z Maracaną i sambodromami
- miasto u ujścia Słupi do Bałtyku
- „miot” mikry z ikry

